Nr. 45 (1088). Warszawa, dnia 27 Października (9 Listopada) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Zadania ***Prawdy*** *nie uważamy za wyczerpane wydawnictwem samego tygodnika, który z konieczności musi wiele miejsca poświęcać sprawom bieżącym różnego rodzaju. Dodatek kwartalny również pozwala nam zaledwie w drobnej mierze zadość uczynić potrzebom naukowym naszych czytelników. Pamiętając o tych potrzebach, podejmowaliśmy wydawnictwa dzieł naukowych, do których po kilkoletniej przerwie powrócimy w roku przyszłym. Niezależnie tedy od dodatku kwartalnego, który obejmie 1-tomowe dzieło Lester Ward'a* ***„Czynniki psychiczne cywilizacyi,"*** *nakładem naszym jako osobne książki wyjdą:*

Edwarda Bradford Titchener'a: ***„Zarys psychologii"*** *(An outline of Psychology).*

C. Lloyd Morgan'a: 1) ***„Wstęp do psychologii porównawczej"*** *(An introduction to comparative Psychology) — 2)* ***„Zachowanie się zwierząt"*** *(Animal behaviorm).*

Karl Pearson'a: ***„Gramatyka nauki"*** *(The Grammar of science).*

Dr. Fryderyka Dannemenn'a: ***„Zarys dziejów wiedzy przyrodniczej"*** *(Grundriss einer Geschichte der Naturwissenschaften).*

G. Simmel'a: ***„Filozofia pieniędzy„*** *(Philosophie des Geldes).*

Fryderyka Kirchnera: ***„Historya Filozofii"*** *od Tales'a po czasy teraźniejsze (Katechismus der Geschichte der Philosophie von Thales bis zur Gegenwart).*

POLITYKA.

Wyprawa Caillarda.

Chwalebny przykład gorliwości w obronie praw swych obywateli daje Rzeczpospolita francuska. Gdy w wiadomych sprawach Loranda i Tubiniego oraz Towarzystwa bulwarów i doków stambulskich nie pomogły dopominania się i groźby, rząd nakazał p. Constant opuścić stolicę turecką, a przez przysłanie paszportów usunął posła tureckiego, Munira beja, ze swojej. Gdy podczas dyplomatycznego bezrobocia gotowość sułtana do porozumienia się i co więcej, nawet już z Tubinim zawarta ugoda samemu umawiającemu się, w przekonaniu rządu francuskiego, groziła pokrzywdzeniem, rozciągnięto nad wszystkimi skrzywdzonymi taką opiekę, że im wręcz nie pozwolono za siebie działać i obronę ich praw zmonopolizowano w swych rękach. Gdy wreszcie sułtan wydał jedno i drugie *irade*, uznano je za płonne, bez rękojmi i nie pozwolono skrzywdzonym wystawiać się na niebezpieczeństwo — niespełnienia zobowiązań przez Turcyę. Trudno sobie wystawić doskonalsze pojmowanie obowiązków opiekuna, jakiem jest każde państwo względem swego obywatela, doznającego krzywdy za granicą.

Ale i to jeszcze nie wyczerpało doskonałości pojęcia i woli. Nagle d. 1 listopada telegram z San Bonifacio na Korsyce, donosząc o wypłynięciu floty śródziemnomorskiej na manewra, dodał, że część jej pod admirałem Caillard nie otrzymała jeszcze instrukcyi i może być, że się odłączy od całości i popłynie na wody tureckie. Tę część oznaczono jako dwa pancerniki, trzy krążowniki i dwie przeciwtorpedówki; później, gdy wskazano już okręty imiennie, ubył jeden krążownik. Nadeszły instrukcye i dywizya popłynęła na Wschód. Sułtan, przestraszony, posłał do sprawującego interesy, Bapsta, zapewnienie, że zapłaci tyle, ile się domagano ze strony Loranda, tj. 345,000 f. tur.; ale p. Bapst odpowiedział, że w braku rękojmi i ścisłego określenia zobowiązania, nowe zapewnienie nie zdoła wstrzymać biegu sprawy. Flota płynie jak płynęła. Mówiono odrazu, że zajmie Lesbos (Mytilene), skąd niedaleko, w Smyrnie, jest wielka komora, której dochody wystarczą na pokrycie pretensyj obywateli francuskich. Mówiono też, że możliwem jest i zajęcie Tessaloniki; to jednak byłoby zbyt śmiałem, wyzywającem — a pod względem korzyści materyalnych może mniej wartem od zajęcia Lesbosu: i dyplomatycznie i po kupiecku prawdopodobniejszą jest wyspa przy brzegu azyatyckim od przystani i wielkiego punktu już politycznego na kontynencie Europy. Przed upływem bieżącego tygodnia telegraf rozjaśni wątpliwość.

Jednocześnie z wysłaniem floty wysłano i instrukcye tajemne, rodzaj ultimatum dla Turcyi, Bapstowi. Niema tak naiwnych, żeby uwierzyć mogli w czystą tylko egzekucyę należności, przypadających tym wszystkim Lorandom, Tubinim i bulwarowcom stambulskim. Francya jako mocarstwo chce niezawodnie załatwić swoje własne rachunki z Turcyą i po to tylko wysyła flotę — poważny już bardzo środek działań dyplomatycznych. „Agencya Havasa" pospieszyła d. 2 b. m. z uspokojeniem Europy, że nie może tu być mowy ani o ustępstwach terytoryalnych, ani o wznawianiu kwestyi wschodniej: Francya chce tylko raz na zawsze zapobiedz powtarzaniu się takich nadużyć, jak otwie-

ranie pakietów dyplomatycznych przez władze tureckie, broni swych praw i swej godności. Dzienniki wielce poczytne, jak *Petit Parisien*, organ ministra rolnictwa Dupuy, zapowiadają stanowcze urządzenie stosunku, a sama Ag. Havasa dodała do poprzedniego wyjaśnienia nowe, zapowiadające uzyskanie takich praw, z którychby i inni chrześcianie w Turcyi korzystać mogli. Rozumieć tu potrzeba utrzymanie samej zasady kapitulacyj, wzmocnienie jej nowemi ustępstwami Turcyi; domyślać się też wolno uroczystego ponowienia i stwierdzenia praw, jakie ma Francya do utrzymywania szkółek chrześciańskich w Syryi i do rozciągania opieki nad wszystkiemi misyami i urządzeniami katolickiemi w Syryi. Domniemywać się można wszystkiego, czego od państwa bezsilnego i bezładnego zażądać się spodoba państwu, które ma i siłę i—ład i flotę na wodach tureckich.

Rozprawiała już o tych manewrach floty francuskiej na wodach tureckich Izba w Paryżu, d. 4 b. m. Sembat rozpoczął potyczkę. Zażądał odwoływania się we wszystkiem do parlamentu. Zdziwiła go, jak zdziwiłaby wszystkich, gdyby futro francuskie nie było podbite lisami, owa niesłychana gorliwość opiekuńcza. Francya, która ani drgnęła wtedy, gdy Turcy i Kurdowie mordowali Armeńczyków, teraz z wielkim rozmachem występuje, gdy chodzi o spekulantów — dodajmy, którzy się dobrze obłowią za swoje pretensye. Lepiej byłoby zapobiedz powtarzaniu się okrucieństw w Armenii— zakończył mówca. Cochin, przypominając Boerów, przeniósł sprawę na grunt kwestyi wschodniej: trzeba zażądać od sułtana spełnienia nareszcie zobowiązań zaciągniętych już tak dawno względem chrześcian,—stanąć w obronie traktatu berlińskiego i kapitulacyi. Delcassé odpowiedział: Francya nie zapomina o Armenii, a dbając o rzeczy materyalne, pamięta o moralnych. Trzeba było raz nareszcie pokazać Turcyi, że się jest zdolnym do czegoś więcej, niż do przewlekłej cierpliwości; nie chce Francya żadnych korzyści, chce tylko osłony dla instytucyj francuskich w Turcyi; dopomni się jej teraz z tem większą energią, im dłuższą była jej powściągliwość. Oczywiście, minister nie mógł powiedzieć, do czego wyraźnie dąży, ale to jest niewątpliwem, że ani owe materyalne interesy, wszelkich spekulantów francuskich, ani opieka w Syryi, ani zroborowanie kapitulacyi, ani wogóle wszystkie te krzywdy, które poniosło państwo francuskie wskutek otwierania worków pocztowych na początku roku bieżącego, a obywatele francuscy wskutek niewypłacalności Turcyi, nie wyczerpują dyplomatycznego *menu* p. Delcasségo, okólnik zaś uspakajający mocarstwa, że tu nie chodzi bynajmniej o kwestyę wschodnią, ale o kwestyę zachodnią: sum przynależnych obywatelom francuskim — ma wartość zwykłego dyplomatycznego wybiegu. Zjawienie się floty francuskiej samo przez się pobudzi żywioły chrześciańskie w Turcyi do ruchu, któremu znowu stanowisko Francyi da nadzieję powodzenia. Swoją demonstracyą Francya porusza kwestyę wschodnią. Taki jest skutek jej wystąpienia.

Coś bardzo ciekawego.

Wiedeń 1 listopada.

Poseł Daszyński wniósł dnia 29 października w parlamencie następującą interpelacyę:

„W prześladowaniu narodowości polskiej władze pruskie przekroczyły już wszelką miarę i uciekają się w walce przeciw Polakom do środków, niegodnych państwa cywilizowanego.

„Wbrew wyraźnym postanowieniom międzynarodowych traktatów pocztowych, listy i przesyłki pocztowe, pochodzące z Austryi, adresowane w języku polskim do miejscowości polskich w Prusiech, nie są doręczane bezpośrednio adresatom, lecz przetrzymywane przez pewien czas w nowo-utworzonym urzędzie tłomaczów i dopiero później oddawane intercesowanym.

„Cokolwiek możnaby sądzić o stosunku Niemiec do naszego państwa, jednak przeciw tego rodzaju szykanowaniu obywateli austryackich w Prusiech należy jak najbardziej stanowczo zaprotestować. Tych samych prześladowań probowano względem polskich listów, pochodzących z Królestwa Polskiego, musiano ich jednak zaprzestać skutkiem protestu stron interesowanych.

„W myśl międzynarodowych traktatów pocztowych, celem ochrony interesów obywateli austryackich, zapytujemy: Czy pan minister handlu nie zechce przedsięwziąć odpowiednich środków przeciw tym szykanom i czy nie zechce wziąć w obronę interesów obywateli austryackich?“

Interpelacyę tę podpisali przedewszystkiem najbliżsi towarzysze partyjni p. Daszyńskiego w liczbie dziesięciu; są między nimi Czesi i *Niemcy*. Dalej podpisali ją: polscy ludowcy, nie należący do Koła polskiego i Rusini — młodoczesi i radykaliści czescy; wreszcie br. Ofner, *Niemiec*, poseł z Wiednia, należący do stronnictwa socyalno-politycznego.

Z interpelacyą tą zwrócił się poseł Daszyński—także do Koła polskiego, proponując temu licznemu i, jak wiadomo, wpływowemu klubowi położenie także owych 65 podpisów na tak spokojnie i dyplomatycznie zredagowanej interpelacyi.

Koło wykonało bez wahania ten prosty i łatwy obowiązek narodowy... Przepraszam! tu się zaczyna właśnie coś bardzo ciekawego. Podobne przypuszczenie może powstać w głowie człowieka zwyczajnego; ale Koło polskie składa się z samych mężów stanu, od hrabiów aż do Szajera włącznie.

Więc przedewszystkiem pomyślało ono sobie: p. Daszyński składa nowy dowód, że jest złym Polakiem, ponieważ sprawia taką przykrość, taki kłopot Kołu polskiemu

---

JOHANNES JENSEN.

ZAGINIONE LASY.

Był raz człowiek, który uprawiał rolę, na imię mu było Kora. Gdy dorobił się pieniędzy, poszedł do miasta kupić sobie niewolnika.

Pokazał mu ich dużo handlarz, ale Korze żaden nie przypadł do gustu.

— Cóż, mamże ich wszystkich pobudzić?—mruknął kupiec gniewnie. Było to bowiem w godzinach południowych, gdy niewolnicy zażywali snu.

— Mogę przecież pójść gdzieindziej — rzekł Kora spokojnie.

— Dobrze, już dobrze.

Kupiec szarpnął za łańcuch i Kora obejrzał cały zapas. Każdego obchodził uważnie.

— Pomacajcie-no tego, to towar niełada—zawołał handlarz, wypychając jednego naprzód.—Co? To mi klatka piersiowa, stuknijcie tylko! A popatrzcie na te zgięcia u ręki, żyły jak struny skrzypiec! Otwórz gębę!

Handlarz palcem otworzył usta niewolnika i odwrócił go do światła. — Spojrzyjcie co za zęby! I ostrzem noża przeciągnął po nich.

— Patrzcie gospodarzu, jak metal po nich jedzie. To mi zęby, co zgryzą niejedno!

Kora namyślał się ciągle, obmacywał dokładnie niewolnika, gniótł mięśnie, aby się przekonać, czy ścięgna ma gęste. Nareszcie zdecydował się, kazał go odłączyć od reszty i, wypłaciwszy z kwaśną miną żądaną sumę, zabrał z sobą.

Po dość długim czasie niewolnik rozchorował się. Jeśli tylko nie był w ciągłym ruchu zaczynał tęsknić do lasów, skąd pochodził. Był to dobry znak. Kora znał się na tem wybornie.

Usiadł koło niewolnika, który leżał, oczekując z upragnieniem śmierci i zaczął przemawiać mu do rozumu:

— Wrócisz do swoich lasów, naturalnie, że wrócisz. Przyrzekam ci to, a możesz polegać na mojem słowie. Jesteś jeszcze młody... jeżeli będziesz mi uprawiał rolę przez pięć lat chętnie i pracowicie—zresztą na to kupiłem cię przecie — otrzymasz wolność. Pięć lat więc...

I niewolnik pracował. Robota paliła mu się w rękach. Była to prawdziwa przyjemność dla Kory siedzieć i przypatrywać się pracującemu, jego brunatnym mięśniom wyprężającym się i drgającym pod skórą. Zaczął pojmować, że człowiek jest pięknem stworzeniem, na które spojrzeć miło.

Gdy słońce pierwszy raz się obróciło, odliczył duży palec u prawej ręki. Po upływie jeszcze jednego obrotu — a trwało to strasznie długo — zagiął i wskazujący. Kochał oba te palce, bardziej od innych, które miały jeszcze czekać długo.

— Pięć lat — liczył niewolnik — to tyle obrotów słońca, ile palców. Dziesięć razy musi się słońce obrócić.

Widział, jak zachodziło co wieczora i znaczył sobie na kamieniach lub na pagórku, aby się nie pomylić w liczeniu.

To nieskończone obliczanie było całym skarbem niewolnika, wyłączną jego własnością, do której nikt nie miał praw żadnych.

Czas upływał, a obrachunek powiększał się, wypełniał.

Pory roku przesuwały się, jak wielkie, nieograniczone okresy, których nie mógł objąć. A przed każdą nową zorzą wieczorną budziła się w niewolniku nadzieja.

Czas, który tak szybko upływa, gdy się w nim żyje, wydawał się nieprzejrzanym, gdy już minął. A nowy ociągał się ze swem przyjściem.

W ten sposób pogłębił się świat niewolnika. Każdy wieczór dodawał mu więcej głębi.

A wszystko takie było dalekie, tak nieskończenie dalekie.

Niewolnik co wieczora wpatrywał się w toń, zachodzącego, słońca.

Kiedy wreszcie upłynęło długich, długich lat pięć (wymówi się to łatwo) zgłosił się niewolnik do pana z prośbą o wolność. Chciał wrócić do ojczyzny.

— Uprawiałeś mi rolę bardzo dobrze — odezwał się po namyśle Kora. — Powiedz mi, gdzie leży twoja ojczyzna: na zachodzie? Widziałem cię, spoglądającego w tę stronę.

Następnie zgromadziła się komisya parlamentarna Koła—kwiat szlachty polskiej, ozdoba parlamentaryzmu, same Nestory i Odysseje. Zaczęli obradować. Obradowali dwie godziny. Pod drzwiami siedział zastęp dziennikarzy polskich, pełnych oczekiwania, pytając siebie nawzajem:

— Jakie też głupstwo palną dzisiaj urodzeni wodzowie narodu?!

I nie chybił—największe, jeno, że—nietylko głupstwo. Coś bardzo ciekawego. W imieniu Koła polskiego komisya parlamentarna odmówiła podpisu na interpelacyi posła-Polaka o najzupełniej i najoczywiściej bezprawne szkodzenie interesom polskiej ludności przez hakatystów.

„Demokraci" z Koła, choć solidarni i posłuszni, nie dali dość rękojmi swego ducha narodowego, aby mogli mieć przedstawicieli w komisyi parlamentarnej. Dowiedziawszy się więc już po naradzie o jej wyniku, przybiegli pp. Romanowicz i Rotter do p. Jaworskiego:

— Jakto, jakto? my podpisujemy?

I demokraci polscy dowiedzieli się z ust p. Jaworskiego, że nie podpisują interpelacyi ludowego posła-Polaka.

Poczem naturalnie postanowili tem mocniej zacieśnić węzły solidarności z „narodową reprezentacyą," która okazała tyle odwagi i zmysłu politycznego.

Powtarzam: odwagi. Bo czyż nie jest odwagą cywilną narażać się na lekkomyślne i ubliżające sądy społeczeństwa, niedość jeszcze, pomimo tyloletniej usilnej pracy stańczyków *e tutti quanti*, wytrzeźwionego; społeczeństwa, które nie chce dla miłości cennego „sprzymierzeńca" zrobić tak drobnego ustępstwa, jak pisanie adresów po niemiecku? które nie chce rozumieć, że przedewszystkiem zawsze formalność, że wysoce nieformalnem jest zaprzątanie losami listów i przesyłek — ministra handlu i poczt, że należałoby interpelować ministra spraw zagranicznych w delegacyach austro-węgierskich, które zbiorą się za rok, i do których ktoś, poczuwający zdolność interpelowania nie znajdzie dostępu? społeczeństwa politycznie niewyrobionego, które nie potrafi ocenić wysiłku, na jaki się zdobył w dwa dni potem hr. Dzieduszycki, wyrażając uprzejmie nadzieję, że rząd upomni się o listy, adresowane do *pewnych okolic Niemiec?*

Tu powtarzam:—zmysł polityczny! Oto bowiem poseł stronnictwa klasowego zwraca się pierwszy do „przedstawicielstwa narodu" z propozycyą zamanifestowania jedności narodowej przeciw wrogom tępicielom. Czyż mogła być lepsza sposobność, aby mu dać uczuć, że nie tędy droga i że klasa wodzów z urodzenia nie podaje ręki, nie otwiera drzwi masom unarodowionym? Toż inicyator — taki człowiek złośliwy i niedelikatny: później nie można byłoby w potrzebie rzucić na niego paru piorunów z powodu jego antynarodowości, bo zarazby przypominał, że się razem interpelacyę podpisywało i jego inicyatywę w sprawie obrony narodowej uznało...

Zmysł polityczny... Mogą sobie Czesi stawiać narodowe żądania w takiej chwili, kiedy są koniecznie potrzebni rządowi, i kiedy ten do ustępstw musi być skłonniejszy, mogą Czesi teraz właśnie w chwili obrad nad budżetem i jako cenę jego uchwalenia, wysuwać np. żądanie politechniki czeskiej obok niemieckiej w Brnie na morawach... Koło polskie jest szlacheckie, zatem szlachetniejsze. W takie targi się nie bawi. Rząd popiera, nieszczęsne państwo ratuje — dla idei samej, bezinteresownie...

Bezinteresownie? Ma się rozumieć. Polacy w Galicyi, narodowość polska wogóle nie mają za to nic. A, że tam stoi między każdym rządem wiedeńskim a Kołem polskiem cichy pakt, że Koło nic robi mu żadnych przykrości, a rząd za to pozostawia szlachcie zupełną swobodę oszukiwania i teroryzowania chłopów podczas wyborów i w całem życiu politycznem Galicyi wogóle — to przecie na tem dobrze wychodzi porządek społeczny i w Galicyi, i w Austryi.

Wobec zaś takiego wielkiego celu, czemże są jakieś tam adresy polskie? jakieś gimnazya cieszyńskie?...

zz.

Tydzień polityczny. Leona Czołgosza stracono d. 29 z. m. o godzinie 7-ej rano w więzieniu w Auburn w stanie N. York; za narzędzie śmierci użyto prądu elektrycznego.

Roosevelt bardzo stanowczo wystąpi przeciwko *trustom*, a za wzmocnieniem floty, w swem orędziu grudniowem. Mówią o budowie 40 nowych okrętów większych i mniejszych. Na Filipinach powstanie nanowo się rozpaliło. Na wyspie Samar Amerykanów srodze poturbowano. Miejsce Aguinalda zajął inny przewódca narodowy. Z Ameryki idą posiłki. Na Kubie rozpoczyna się okres konstytucyjny. Sejm miejscowy roztrząśnie projekt konstytucyi. Kubańczycy będą mieli wszystko, prócz — wojska i dyplomacyi własnej: będą pod protektoratem; pozwolono im jednak na własną milicyę.

W Anglii rozeszły się pogłoski o raku w gardle króle Edwarda. Szerzył je głównie *Reynolds Newspaper*; zdaje się, że w tej postaci były one przesadzone; zaprzeczają im też półurzędowe noty. Świeżo król witał następcę tronu i jego małżonkę po powrocie ich z objazdu imperyum angielskiego. Wyraził przy tej sposobności pragnienie pokoju w Afryce. Tu nowe zwycięztwo Boerów d. 31 października pod Bethel, w Transwalu, na południo-wschód od Pretoryi, a na zachód od Ermelo, gdzie widywano Bothę Ludwika, naczelnego wodza, po wyślizgnięciu się z obławy angielskiej na skraju Swazilandu i południowo-wschodniego Transwalu. Prawdopodobną jest obecność jego w nowym szczęśliwym boju. Oddziałem angielskim dowodził pułkownik Benson. Korzystając z mgły, Boerowie w 1000 ludzi napadli na wroga i ciężką zadali mu klęskę. Zginęło lub rany poniosło 25 oficerów i 220 żołnierzy: dwa działa dostały się zwycięzcom. Gdyby nie pomoc Anglikom dana, nie zaniedbaliby Boerowie wytępić i tych, którzy ocaleli. — Znowu kilkunastu oficerów boerskich skazali Anglicy na wygnanie, kilku rozstrzelali.

Leyds z Krügerem we dwóch usiłują wciąż zgalwanizować Europę. Odbywają narady, pukają, próbują — liczą na tę naturę ludzką, która ma w sobie współczucie dla krzywd, nie licząc się z tą naturą ludzką, która ma „bawełnę w uszach od ludzkiego jęku." Podobno na naradzie już listopadowej mówiono o bliskiem ujęciu się ministra spraw zagranicznych Holandyi za Boerami, jako o rzeczy poważnej. Taki mały minister w sprawie z taką wielką Anglią—trochę wierzyć się nie chce. Ma mianowicie Holandya wnieść przed sąd w Hadze propozycyę rozpatrzenia zatargu wojennego w sposób polubowny. Może wniesie; ale na pewne nie otrzyma skutku. Do wielkich wielcy tylko przemawiać mogą — a tu żadne z wielkich mocarstw ani drgnie.

W Niemczech sprawa ceł podwyższonych staje się sprawą honoru rządu a interesu narodu—przynajmniej pruskiego, ostatecznie — pru-

---

— Tak — potwierdził niewolnik domysł pana.

— Czy to daleko? — zapytał Kora.—Kiwasz głową, więc daleko. A pieniędzy nie masz na drogę?

Niewolnik milczał osłupiały. Rzeczywiście nie miał.

— Jeżeli chcesz, pracuj jeszcze u mnie ze trzy lata... zresztą dwa tylko, a dostaniesz ode mnie pieniędzy na drogę—rzekł Kora.

Niewolnik pochylił głowę i poszedł do roboty.

A dobrze się jej imał, lecz nie liczył już czasu, jak przedtem.

Natomiast śnił o domu.

Kora słyszał go często, bełkoczącego przez sen jakieś niezrozumiałe wyrazy lub naśladującego szczekanie psa.

Po jakimś czasie rozchorował się znowu. Usiadł wtedy Kora przy nim i mówił coś długo, a słowa jego były takie poczciwe, takie pełne doświadczenia.

— Starcem jestem, ale i ja w młodości tęskniłem na zachód, do lasów. Nie mogłem jednak uzbierać dostatecznej sumy pieniędzy na podróż. I nie znajdę się tam pewnie aż duchem, po śmierci. Ty jesteś młody i pracujesz dzielnie... ale czyż dzielniejszym jesteś, niż ja byłem w młodości? Rozmyśl się i posłuchaj dobrej rady: staraj się wyzdrowieć.

Wreszcie niewolnik przyszedł do zdrowia.

A gdy zabrał się znowu do roboty, wypoczywał często, pokładał się i zasypiał.

Wtedy dostał pewnego razu baty. Te mu posłużyły; spłakał się.

I minęły dwa lata.

Wtedy dał mu Kora rzeczywiście wolność.

Niewolnik wybrał się na zachód.

Po kilku miesiącach wrócił zbiedzony, nie znalazłszy swoich lasów.

— A widzisz — rzekł Kora — ale ja jestem dobry, tego mi nikt nie zaprzeczy. Idź po raz drugi i szukaj na wschodzie. Może lasy leżały właśnie w tej stronie.

Niewolnik poszedł po raz drugi i rzeczywiście znalazł lasy ojczyste. Lecz ich nie poznał.

Wrócił smutny, zmęczony i opowiadał, że wprawdzie tu i owdzie znalazł drzewa, ale to nie były jego lasy.

— Hm! — chrząknął Kora — u mnie utrzymanie zawsze mieć możesz — rzekł serdecznie—pozostań u mnie. Tu będziesz się czuł jak wśród swoich. A gdy mnie Bóg powoła do ojców moich, syn mój będzie miał staranie o tobie.

Kora się starzał, ale miał niewolnika w pełni sił.

Żywił go dostatnio, aby go utrzymać w zdrowiu i starał się o jego czystość, aby nie miał wyrzutów na skórze.

Od czasu do czasu dawał mu rózgi, aby go utrzymać w pokorze.

Nie pozwalał mu też tęsknić do odpoczynku: co tydzień niewolnik miał dzień zupełnie wolny i mógł sobie siedzieć na górze i patrzeć na zachód.

Ziemia Kory dawała plon obfity—kupił więc sobie las, który wycinał i obsiewał, aby niewolnik miał co robić.

A on ścinał drzewa z prawdziwą przyjemnością i zapałem.

Korze zaś pieniędzy przybywało ciągle.

Pewnego dnia dokupił niewolnicę.

Lata szły, a w domu Kory dorastało sześciu dorodnych niewolników, którzy podobnie jak ojciec pracowali sumiennie.

Tylko przy pracy czas mija — mawiał im ojciec.—Gdy nadejdzie chwila, odważnie wkroczymy w wieczne lasy.

I każdego wolnego dnia brał synów na górę i, patrząc w oblicze zachodzącego słońca, uczył ich tęsknić.

Kora postarzał się i zniedołężniał. Zawsze był stary, ale teraz już nic na nim nie było prócz starości.

Syn jego od urodzenia nie był silny:

Ale nie mieli powodu obawiać się złych ludzi, wiedziano bowiem dobrze, że każdy z niewolników jednem uderzeniem pałki zabiłby człowieka.

Wspaniałe to były okazy. Ciało prężyło się na smukłych kościach, a zęby mieli jak tygrysy.

Ale czasy były spokojne.

Niewolnicy śmigali żelaznymi toporami, ścinając tylko drzewa w lesie.

Z duńskiego przeł.

Józefa Klemensiewiczowa.

sko-agrarnego Cesarz dał się słyszeć, że jeśli cła nie przejdą przez sejm, wszystko porozwala. Co jest tem wszystkiem — nie powiedział. Widać tylko, że się potężny mocarz gniewa. No, ale jeszcze świat się nie wali. — D 4 b. m. rozpoczął się na nowo proces w Poznaniu przeciwko młodzieży uniwersyteckiej. przed miesiącem niespełna skończył się proces przeciwko młodzieży gimnazyalnej w Toruniu: powypędzano ją i powtrącano do więzień i aresztów. W sprawie poznańskiej jest trzynastu obwinionych o uczestnictwo i jeden o kierownictwo naczelne, herszt Bolewski. Przedmiotem obwinienia: łączenie związków dozwolonych w tajne, zabronione; rzeczywiście z procesu zieje tylko nienawiść i żądza wytępienia polskości. Sprawie nadano rozmyślnie kształty potworne; przy nienawiści może być i potworny wyrok. Wkrótce rozpocznie się trzeci proces polityczny: wytoczyło go państwo pruskie matkom wrzesieńskim, które wpadły do szkoły tłumnie, gdy nauczyciel uczył dzieci czcić Boga po niemiecku, a opierające się katował.

W Austryi wóz, który p. Koerber wyładował ustępstwami ekonomicznemi i kulturalnemi dla ludów monarchii, zaczyna skrzypieć. W samem ministeryum p. Rezek, minister Czech, wypowiadał posłuszeństwo; chodzi tu o naukę uniwersytecką czeską w Brnie. Przesilenie trwało ze dwa tygodnie; podobno d. 4 b. m. było już zażegnane. W Izbie budżet na porządku dziennym, ale przerwanie obrad i grożąca obstrukcya Czechów nawet temu porządkowi odejmują pewność.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD WARTY I ODRY.

Jeszcze kilka lat temu sprawy górnośląskie były dla Poznańczyków czemś zupełnie niemal obcem. Prasa poznańska zajmowała się niemi dość rzadko i tylko przygodnie. „Historyczno-traktatowe“ stanowisko polityków miejscowych kazało im trzymać się zdala od aspiracyj górnośląskich, nie ugruntowanych na niedawnej przeszłości historycznej, nie opartych na żadnych traktatach. Koło polskie w Berlinie odżegnywało się od wszelkich projektów przyjęcia do swego grona polskich posłów z Górnego Śląska. Wprost jakiś lęk dawał się wyczuwać w artykułach prasy poznańskiej o ruchu, budzącym się na Górnym Śląsku. Żywiołowość tego ruchu i jego cechy demokratyczne zrażały polityków poznańskich, nieprzyzwyczajonych widzieć w ludowcach nic innego nad masę głosującą według wskazówek „urodzonych“ przywódców.

Dziś postać rzeczy się zmieniła bardzo. Prasa poznańska zajmuje się gorąco sprawami Górnego Śląska, pilnie śledzi rozwój zaostrzających się antagonizmów narodowo-społecznych w tej dzielnicy i traktuje interesy polskich dzielnic Prus jako jedną całość. Naturalnie, mam tu na myśli prasę demokratyczną. Bo też zmianę tego stosunku do spraw górnośląskich należy w znacznym stopniu przypisać zdemokratyzowaniu się pojęć społeczeństwa poznańskiego, jego najmłodszego pokolenia. Tracąc ziemię, a więc ekonomiczną podstawę wpływów i znaczenia w polityce, szlachta poznańska nie może żądać tak już wyłącznego, jak uprzednio, podporządkowywania innych warstw społecznych swoim. Mieszczaństwo i drobnomieszczaństwo coraz głośniej dopomina się o udział w kierownictwie polityką narodową. Wobec tego możliwymi są już dziś takie fakty, jak wybór dr. Chrzanowskiego, skrajnego — jak na stosunki poznańskie — demokraty, przez ogół wyborców w Poznaniu, a więc: przez szlachtę, która do niedawna namiętnie zwalczała kandydatury demokratyczne.

Oprócz upadku wpływów szlachty, na większe zainteresowanie się sprawami górnośląskiemi oddziałało: osłabienie solidarności wyznaniowej z katolikami niemieckimi wskutek ich przejmowania się poglądami hakatystycznymi. Dawniej, dopóki katolicyzm w Prusach był prześladowany przez rząd pruski, wspólność wroga wytwarzała taką solidarność pomiędzy katolikami polskimi a niemieckimi, że w sprawach narodowościowych czyniono sobie wzajemnie, daleko idące, ustępstwa. To była jedna z przyczyn, dla czego pisma poznańskie niechętnie poruszały sprawy górnośląskie. Śląsk oddawano niemieckiej partyi centrum jako współtowarzyszowi walki z rządem pruskim i nie chciano katolików niemieckich „drażnić“ poruszaniem spraw górnośląskich. Obecnie katolicy niemieccy otwarcie stają w jednym szyku z hakatystami-protestantami i o dawnych sielankowych stosunkach z centrum niema już mowy.

Dlatego też demokratyczna prasa poznańska roztrząsa otwarcie sprawę wyborów na Górnym Śląsku, mających się odbyć dopiero za dwa lata. Właściwie pisze się o nich nie tak dużo, jak mówi się w kołach polityków zawodowych. Stanowisko *Katolika* — czynnika najbardziej dotychczas decydującego w tych sprawach — jest dość niewyraźne. Naciskany z dwóch stron, przez katolicką *Gazetę Robotniczą* z jednej, a przez *Dziennik Berliński* z drugiej, *Katolik* musi występować dość ostro przeciwko germanizatorskim dążnościom centrowców, ale na ostateczne zerwanie z centrum nie odważy się. O ile można wnosić z wiadomości prywatnych organ ten postawi centrowcom pewne żądania, odnoszące się do kandydatur w okręgach górnośląskich. Oprócz Szmuli i Strzody, centrowców-Polaków, których pismo powyższe będzie popierało przy najbliższych wyborach, zażąda ustąpienia Polakom jeszcze paru okręgów, zwłaszcza dwóch, najbardziej zagrożonych przez socyalistów — katowicko-zabrskiego i bytomsko-tarnowickiego. Oprócz tego ma zażądać, ażeby znienawidzony przez Polaków hr. Ballestrem nie kandydował już wcale w okręgu lubliniecko-gliwickim. Nie wiadomo, czy się centrum do tego ostatniego żądania zechce przychylić. Gdyby sprawa kandydatur górnośląskich była załatwiona pokojowo, centrum zyskałoby paru posłów-Polaków i na tem by się skończył cały zatarg. Ale wchodzą tu w grę inne jeszcze czynniki, mianowicie i socyaliści, zwolennicy *Dziennika Berlińskiego*. Organ ten rzucił hasło: „precz z centrum!“ i żąda samodzielnych kandydatur polskich — i to ludzi takich, którzyby po wyborze nie wstąpili do centrum, ale połączyli się z Kołem polskiem lub w najgorszym razie utworzyli klub samodzielny polsko-śląski w parlamencie. Rzecz dość możliwa, że zwolennicy *Dziennika Berlińskiego* pokuszą się o wystawienie samodzielnych kandydatur przeciwko centrowym, chociażby nawet polskim.

Wobec tego w niektórych okręgach może się wyłonić po kilka kandydatur, ponieważ socyaliści również mają pewne podstawy do przypuszczania, że uda się im zdobyć bodaj jeden mandat. O szansach kandydatur robotniczych może być mowa tylko w trzech okręgach: katowicko-zabrskim, bytomsko-tarnowickim i lubliniecko-gliwickim. W pierwszym z nich kandydat *Gazety Robotniczej* otrzymał w 1898 roku 9,829 głosów, w drugim — 7,955, w trzecim — 2,366. Kandydaci centrum zostali wybrani 20,048, 17,029 i 14,600 głosami. Obydwaj centrowcy-posłowie z pierwszych dwóch okręgów (Letocha i dr. Stephan) podobno już nie mają zamiaru kandydowania, a poseł z Lublińca-Gliwic zbyt jest nielubiany, ażeby mógł liczyć na głosy robotnicze. Tylko tej okoliczności należy przypisać małą stosunkowo liczbę głosów, otrzymanych przez kandydata socyalistycznego z okręgu lubliniecko-gliwickiego w r. 1898, że kandydował tam dr. Winter, usposobiony hakatystycznie. Teraz dr. Winter ma stawiać swą kandydaturę w okręgu Bytom-Tarnowice, gdzie spotka się niewątpliwie z kontrkandydaturą socyalisty-Polaka.

W pewnym związku ze sprawą kandydatur górnośląskich stoi fakt aresztowania dr. Kazimierza Rakowskiego we Wrocławiu. Był on przez dość długi czas kierownikiem krzykliwego pisemka poznańskiego, *Praca*, i w końcu został jako „obcokrajowiec“ wydalony z granic Prus. Osiadłszy we Lwowie, nie przestawał pisywać do *Pracy*. Wówczas to poczęły się ukazywać we wzmiankowanem piśmie poznańskiem artykuły, odznaczające się niezwykłą ostrością tonu, a podpisane „Vester.“ Z powodu tych artykułów redakcya *Pracy* miała cały szereg procesów i zatargów z policyą pruską. *Orędownik*, od bardzo już dawna znany ze swych usposobień denuncyatorskich, ogłosił publicznie, że pod pseudonimem „Vester“ ukrywa się nie kto inny jak dr. Rakowski. Demokratyczna część prasy poznańskiej energicznie skarciła postępek dr. Szymańskiego, wydawcy i redaktora *Orędownika*. Minęło sporo czasu, aż tu pismo owo ogłasza, że dr. Rakowski razem z p. Biedermannem organizują Górny Śląsk dla celów wyborczych i czynią to w wielkiej tajemnicy przed centrowcami. Naturalnie że policya pruska nie dała sobie dwa razy powtarzać tej wiadomości. Obstawiła szpiegami mieszkanie p. Biedermanna i pilnie śledziła wszelkie jego ruchy. Istotnie, p. Biedermann miał się udać na Śląsk i tam się spotkać z dr. Rakowskim, ale spostrzegłszy, że jest szpiegowany, zatelegrafował do dr. Rakowskiego w Krakowie, ażeby ten nie przyjeżdżał do Prus. Przypuszczając jednak, że dr. Rakowski już pojechał na Śląsk, postanowił udać się do Wrocławia i tam przestrzedz go osobiście. We Wrocławiu obaj zostali aresztowani; p. Biedermanna puszczono zaraz, zabrawszy mu tylko kufer z drukami, które przeznaczone były dla Górnego Śląska, dr. Rakowskiego zaś odstawiono do więzienia.

Pisma demokratyczne winią całkiem słusznie dr. Szymańskiego o spowodowanie wypadku wrocławskiego i przy tej sposobności wywlekają szereg faktów z jego działalności, świadczących o niesłychanie nizkim poziomie etycznym wydawcy *Orędownika*.

Policya pruska nie zadawala się dobrowolnymi denuncyantami w rodzaju dr. Szymańskiego i wzmacnia ustawicznie swoje szeregi. Świeżo np. przy politycznej policyi poznańskiej ustanowiono pięciu nowych agentów, którym polecono wybadywanie poglądów ludności polskiej różnych sfer. Nowych agentów osadzono w Poznaniu, dawnych zaś, zanadto już znanych publiczności, wysłano na prowincyę jako „podróżujących.“ Jeden z nich, już zdemaskowany, zabrał z sobą mnóstwo kart pocztowych z widokami i ma niby je sprzedawać. Wybrał specyalnie takie, które cieszą się największą popularnością wśród Polaków.

Widać, że policyi pruskiej i wogóle rządowi, nie wystarczają informacye z prasy polskiej oraz z materyałów, gromadzonych podczas różnych procesów politycznych. Muszą zasięgnąć zdania i osób prywatnych. Niedawno np. najwyższym władzom rządowym złożyła memoryał o usposobieniu Polaków jakaś osobistość z kół obywatelstwa niemieckiego. Zapewne chodzi tu o jakieś nowe projekty antypolskie, ponieważ żadne z dotychczasowych środków nie zdołały zapobiedz wzrostowi żywiołu polskiego.

Na ten wzrost skarżyli się bardzo ewangelicy niemieccy, których „Związek“ od-

był niedawno swe doroczne zebranie we Wrocławiu. Z pomiędzy referatów, przedstawionych na ten zjazd, najciekawszy był wypracowany przez pastora Scheffera Gdańska na temat: „Niebezpieczeństwo la niemieckiego protestantyzmu i jego postępy na kresach wschodnich.“ Pastor Scheffer starał się za pomocą cyfr przerazić swych słuchaczy upadkiem wyznania ewangielickiego w Poznańskiem, Prusach i na Śląsku. Według jego zdania, w Prusach Zachodnich było: w r. 1861 ewangelików 590,000 katolików 560,000; w roku 1895 ewangelików 700,000 katolików 760,000.

Ewangelicy powiększyli się w tym czasie o 19%, katolicy o 36%. W obwodzie gdańskim liczba katolików powiększyła się o 10% bardziej niż ewangelików, w kwidzyńskiem nawet o 20%.

W Poznańskiem było: w roku 1861 ewangelików 440,000 katolików 920,000; w roku 1895 ewangelików 560,000 katolików 1,230,000.

Ewangelicy pomnożyli się o 14, katolicy zaś aż o 33%.

Na Górnym Śląsku w ciągu tego czasu liczba ewangelików wzrosła o 45,000, katolików o 530,000, wskutek czego na całym Śląsku, gdzie do roku 1891-go liczba ewangelików równała się z liczbą katolików, obecnie tych ostatnich jest 55%, kiedy pierwszych tylko 45%.

Główną przyczynę wzrostu katolików we wschodnich dzielnicach Prus, pastor Scheffer widzi w ogromnej płodności Polaków. Wielkiem niebezpieczeństwem zagraża protestantyzmowi, wzmagający się polski stan średni. Po za tem pastor Scheffer stwierdza ze smutkiem, że właśnie protestancka ludność niemiecka najliczniej emigruje na zachód. Pobożny kapłan ubolewał też bardzo nad tem, że wszelkie środki kulturalne, skierowane przeciwko Polakom, stają się ostatecznie im pomocnymi. Widocznie środki „niekulturalne,“ w rodzaju wycinania w pień ludności polskiej, bardziej przypadłyby do gustu p. pastorowi, bo już w żaden sposób nie mogłyby wyjść Polakom na korzyść.

Zjazd wrocławski występował przeciwko Polakom w imię „zagrożonych“ interesów protestantyzmu. Nie należy jednak sądzić, że Polakom-protestatom dzieje się w Prusach lepiej, aniżeli ich katolickim współbraciom. Oto np. świeżo przeniesionej z Ełku do Szczytna *Gazecie Ludowej*, wydawanej dla Mazurów - protestantów, przytrafiła się następująca przygoda:

Po załatwieniu wszystkich formalności w Ełku, drukarnię *Gazety Ludowej* sprowadzono do Szczytna, gdzie wynajęto dla niej lokal na rok. Właścicielka domu bardzo była rada z tego, że wynajęła mieszkanie i prosiła, ażeby pozostano u niej nawet po upływie terminu, określonego przez umowę. Ale minęło zaledwie kilka dni, kiedy taż sama właścicielka zjawiła się w drukarni wraz z bratem swym, kupcem miejscowym, żądając, aby nowi lokatorowie natychmiast opuścili jej dom wraz z drukarnią. Oświadczyła, że woli innym pozwolić darmo mieszkać, niż udzielać przytułku gazecie, którą landrat i policya uważają za podburzającą. W końcu widząc, że nowi lokatorowie, od których już wzięła komorne za kwartał, ani myślą się wynosić, zażądała, ażeby jej przyniesiono pismo od landrata, że ten nic nie ma przeciwko wychodzeniu w Szczytnie pisma polskiego. Naturalnie, odprawiono ją z kwitkiem.

Pośrednik.

Przytułki dla ludzi bezdomnych.

Mówiąc o ludziach bezdomnych, nie mam oczywiście na myśli bohaterów Żeromskiego, tych istot antyspołecznych, które zakłócają spokój swym współobywatelom. Dla dr. Judyma i jego towarzyszów niema wogóle miejsca w społeczeństwie ucywilizowanem i zrównoważonem. Należałoby ich co najwyżej wysyłać do puszczy lub Sahary, miast budować dla nich przytułki. Gdybyśmy im ostatecznie urządzili najwzorowszy na świecie zakład, to z pewnością nazajutrz chcieliby tam zaprowadzić gwałtowne i radykalne reformy, tak iż zarząd byłby zmuszony wysadzić wichrzycieli na świeże powietrze. To też nie o nich nam chodzi, lecz o osoby w istocie niemające dachu nad głową. Już Grakch w starożytności dziwił się ogromnie, iż wszystkie dzikie zwierzęta posiadają własne jaskinie, podczas gdy istnieją ludzie, którzy nie mają gdzie głowy złożyć. Taka naiwność społeczna rzymskiego trybuna jest dla nas, że się tak wyrażę, rajem straconym. Nam zjawiska tego rodzaju są dobrze znane, a co ważniejsza, nie przejmują nas wogóle dreszczem zgrozy. Zważmy przecież, iż kwestya braku przytułku nie daje się we znaki ani wiosną, ani latem. Kto w tych porach roku nie ma własnego kąta, może z prawdziwą rozkoszą spędzać noc na łonie natury, jak np. w Warszawie na Saskiej Kępie, w Berlinie— w Tiergartenie, w Londynie — w Hyde-Parku itp. Co to za cudowny „Sen nocy letniej,“ gdy człowiek leży pod wspaniałym baldachimem, usianym morzem gwiazd, gdy kołysane wiatrem drzewa śpiewają mu najwznioślejsze nocturny, a nad ranem budzi go serenada ptactwa, stokroć piękniejsza od „Messa solemnis“ Beethovena! Dopiero w jesieni i zimą, kiedy brak tej serenady, kiedy noce są długie i nudne, człowiek odczuwa dotkliwie potrzebę własnego kąta lub ciepłego łóżka. To też niektórzy uczeni pozwolili sobie zastanowić się nad kwestyą, jak zaspakajają potrzebę tę bezdomni. Pewien profesor amerykański — jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Ward — chcąc zbadać rzecz gruntownie, udał się w przebraniu obdartusa na dłuższą włóczęgę. Niestety, rezultat wyprawy był chybiony, albowiem badacz nasz wrócił do domu z przyczyn niewiadomych hipochondrykiem i na wszelkie zadawane mu pytania nic nie odpowiadał. W Niemczech sprawa bezdomnych również zaprzątała już umysły. Tak np. znany ekonomista, Adolf Wagner, polecił jednemu ze swych uczniów, Konstantemu Liebichowi, aby na własne oczy przyjrzał się odnośnym stosunkom. Wiarogodne dane posiadała bowiem nauka tylko o prywatnych przytułkach, zwanych w żargonie włóczęgów „Penne.“ Wiedziano np., iż są one urządzone z całym przepychem techniki nowoczesnej. Przez pokój niezbyt obszerny przeciąga się trzy długie sznury, a każdy przybysz bez legitymacyi, bez różnicy stanowiska społecznego, narodowości, wyznania, przekonań politycznych i poglądów filozoficznych, ma prawo za opłatą pięciu fenigów gotówką w walucie niemieckiej oprzeć prawdziwie po książęcemu swą skołataną głowę o sznur, zająć oprócz tego tyle miejsca, ile zajmuje jego tułów, przybrany w łachmany, i śnić o tem, iż żyje w najdoskonalszym ze wszystkich możliwych światów. Po za tem niewiele było wiadomo. Konst. Liebich zbadał wszystko co do joty i osiągnął rezultaty zupełnie niespodziewane. Książka jego mianowicie doczekała się niezliczonych recenzyj i wyszła już w trzeciem wydaniu. Odważny młodzieniec znalazł naśladowców. Przed miesiącem niejaki Hoffmann, były szewc, a obecnie księgarz, z urzędu zaś radca miejski Berlina, postanowił we własnej osobie przekonać się o urządzeniach miejskiego przytułku noclegowego, o których krążyły niepochlebne pogłoski. Włożył zasmoloną bluzę, lakierki znaleziono na jakimś śmietniku i w tem wytwornem ubraniu zapukał do przytułku. Już na samym wstępie przekonał się, iż wspomniane niepochlebne pogłoski są tylko oszczerstwem. Zanim bowiem otrzymał kolacyę, zaproszono go wraz z innymi „gośćmi“ do pokoju kąpielowego. Tu zaś, dla zahartowania ich, zgodnie ze wskazówkami hygieny nowoczesnej, dano im do kąpieli zimną wodę, a dla doskonalej wentylacyi otworzono naoścież wszystkie okna. Motłoch niewdzięczny wraz z naszym Harun-Al-Raszydem stanowczo odmówił kąpania się. Personelowi przytułku nie pozostało nic innego, jak pomimo szacunku dla cudzych przekonań, dać obecnym maleńką lekcyę hygieny nowoczesnej. To też uczynili to, wykonywując przytem w zapale pewne gesty rękami. Harun-Al-Raszyd tak był oszołomiony sumą doznanych dobrodziejstw, iż zwalił się na ziemię. Tu dopiero, chcąc odwdzięczyć się dyrekcyi za wszystko, krzyknął na cały głos, iż jest radcą miejskim i prosi o wskazanie mu pokoju zarządu. Personel oniemiał, z największym szacunkiem podniósł Harun-Al-Raszyda z ziemi i lekkiem, niby muśnięcie Zefira, dotknięciem nogi o ciało czcigodnego radcy, pchnął go naprzód w kierunku pożądanym. Radca z zachwytu zemdlał i ocknął się dopiero, leżąc na ulicy. Wyprawa jego wzbogaciła przedewszystkiem literaturę humorystyczną. Jedna z gazet kreśli życiorys Hoffmanna, rozpoczynając go od słów: „Już jako dziecko przyszły radca zdradzał wstręt do wody.“ Drugie pismo znowu przedstawia włóczęgę, który będąc zagadniętym przez Schutzmanna o papiery legitymacyjne, odpowiada z dumą prawdziwego patrycyusza: „Jestem radcą miejskim.“ Oprócz tego powołano komisyę dla gruntownego zbadania stanu rzeczy. Komisya tak gorliwie oddała się świętej sprawie bezdomnych, iż jeszcze dziś, po upływie miesiąca, nie skończyła swych studyów.

W Anglii wzięto się nieco inaczej do rzeczy. I tam przytułki prywatne aż do ostatnich czasów pozostawiały wiele do życzenia. Zwykle był to pokój specyalnie urządzony jako sypialnia. Ażeby noclerznicy spoczywali na miękkiem posłaniu Madejowem, pokryto podłogę słomą, szmatami i wiórami. Ażeby spali twardym snem sprawiedliwych, niema okna, którego światło drażniłoby powieki zmęczone. Wreszcie ażeby było wesoło i nie zbywało na duchu towarzyskim, wtłaczano do jednego pokoju około 30 osób, oczywiście— w imię zasady równouprawnienia — płci obojej, przyczem każdy ma prawo przyprowadzić ze sobą bezpłatnie również bezdomnego psa. Już przed dwudziestu laty wszakże M. Robert Burns stworzył w Glasgowie instytucyę, która dokonała przewrotu w tej dziedzinie. Za jego przykładem poszli w Londynie lord Rowton i Rada Hrabiowska. Obydwaj pokusili się o założenie hotelów wzorowych pod względem urządzenia, płatnych, a więc nie udzielających gościnności tytułem jałmużny, przystępnych dla Lumpenproletaryatu, prawie najniższych szczebli społecznych, a jednocześnie opartych na zdrowych zasadach finansowych.

Hotel Rady Hrabiowskiej obejmuje 320 numerów z tylomaż łóżkami. Za 5 pensów, czyli 20 kop., gość otrzymuje dobrze urządzony i opalony numer z łóżkiem, a oprócz tego ma prawo korzystać z aparatów kuchennych zakładu i przyrządów do prania bielizny i ubrania. Pomimo iż hotel jest zwykle przepełniony, próba faktycznie nie udała się. Chodziło bowiem o instytucyę, któraby zamiast zwracać się do filantropii, mogła istnieć o własnych siłach i wskutek

tego z czasem zachęciłaby innych do naśladownictwa. Chcąc wiązać koniec z końcem, hotel był zmuszony podnieść cenę od numeru do 6 pensów, sumy przystępnej dla arystokracyi pieniężnej świata bezdomnego.

Inaczej stoi sprawa z przedsiebiorstwem lorda Rowtona. Mąż ten, były sekretarz kanclerza lorda Beaconsfielda, doszedł drogą rachunku do przekonania, iż można bez ryzyka umieścić na 5% kapitały w hotelach dla pauprów. Jego nadzieje sprawdziły się w tak świetny sposób, iż obecnie przedsiebiorstwo utrwaliło się jako towarzystwo akcyjne z ograniczoną poręką, kierujące aż czterema olbrzymimi hotelami, które zawierają około 3 tysięcy numerów.

Hotel tego rodzaju jest gmachem sześciopiętrowym, zbudowanym w ten sposób, iż jego 700 numerów z łóżkami wychodzą na stronę słoneczną, w myśl zasady, iż „dokąd nie dochodzi słońce, wcześniej czy później musi zawitać lekarz.“ Inwentarz numeru składa się z łóżka wraz z kołdrą, dwoma materacami, poduszką, pierzyną i prześcieradłem, oraz z krzesła, pułki i szafy. W numerze tym, szczelnie odgraniczonym od innych, gość może spokojnie w zupełnem odosobnieniu spędzić noc. Zrana są do jego rozporządzenia na dolnych piętrach pyszne komnaty, wyposażone w prawdziwy zbytek i przeznaczone do mycia się, kąpieli i ubierania.

W restauracyi hotelowej można dostać gorące i zimne potrawy, tudzież rozmaite środki spożywcze po nadzwyczaj nizkich cenach. Ci, co sami chcą sporządzić sobie jedzenie, mogą to uczynić w specyalnie przeznaczonym na ten cel pokoju ze statkami, emaljowanymi zlewami i wszelkiemi narzędziami technicznemi. Do gotowania zaś służy kuchnia. Potrawę spożywa się w jadalni. Obok znajduje się pokój bawialny, urządzony wytwornie z pięknymi gzymsami i dwoma kominkami rozpalanymi zimą. Nie brak oczywiście czytelni z biblioteką podręczną i doborem najpoczytniejszych gazet, któremi człowiek bezdomny może nakarmić zgłodniałego ducha przy dźwiękach muzyki organowej, dochodzącej z sąsiedniego pokoju. Za mieszkanie ze wszystkiemi temi wygodami płaci się 6 penne czyli 25 kop. na dobę. Przedsiebiorstwo pomimo to kwitnie, daje piękną dywidendę, a jakeśmy powiedzieli, buduje już czwarty hotel tego rodzaju. Prasa angielska stawia jednak poważne zarzuty instytucyi. Czyż, zapytuje ona, biedak paląc swą machorkę w bawialni, upiększonej obrazami, pokrytej dywanami i wyposażonej w niesłychany komfort, nie zaczyna odczuwać dziwnych zachcianek i tęsknoty za innem życiem? Czyż dusza jego nie buntuje się przeciwko krzywdzie niezasłużonej, czyż nie klnie na czem świat stoi cywilizacyi współczesnej z jej cyniczną niesprawiedliwością? Zamiast znaleźć spokój dla swego ciała i ducha, tułacz rozgorycza się i bruździ. Uwagi te są bardzo słuszne i z tego punktu widzenia można potępić całe przedsiebiorstwo. Ahaswer bowiem, ilekroć znajdzie jakikolwiek nocleg godny człowieka, zawsze będzie zgrzytał zębami. Należy zatem pozostawić go własnemu losowi. Niechaj sypia w Hyde-Parku, niechaj się rozpiera w tunelu lub pod mostem, niechaj wałęsa się po bożym świecie staczając się coraz niżej. Niechaj choruje i rozpija się. Nic to! Przyzwyczai się stopniowo do swego położenia i nareszcie gdy zapomni o wszystkich potrzebach ludzkich, gdy świadomość o innem życiu ulotni się bez śladu z duszy jego, będzie się się czuł w siódmem niebie. Gabriele d'Annunzio, kapłan nadziemskiego piękna, posłując do parlamentu włoskiego radził w swej mowie wyborczej chłopom włoskim umierającym z głodu, aby się wyzbyli wszelkich pretensyj i przestali zazdrościć pieszczuchom fortuny. W istocie, bajki owe nieprzebrane skarbnice mądrości życiowej, opowiadają nam o pastuszku, który był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, pomimo iż nie miał na sobie koszuli. Pocóż zatem przytułki dla ludzi bezdomnych?

H. Przedmiejski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Swój styl.

Galicya ma swój własny, niezmiernie charakterystyczny styl postępowania, po którym byłoby ją łatwo poznać nawet wtedy, gdyby kronika dziejów współczesnych zapisywała wypadki bezimiennie. Zdarzają się tam fakty, wobec których odrazu, bez żadnych uprzednich objaśnień, rzec można: galicyjskie. Gdzież indziej np. magnat za napaść i znęcanie się nad chłopem byłby ukarany grzywną—4 guldenów? Mamy św.ieży obrazek w tym stylu. W uniwersytecie lwowskim wykładał historyę literatury polskiej p. Pilat, który położył w tej dziedzinie bardzo małe zasługi i który obecnie uległ pomieszaniu zmysłów. Nie chcemy bynajmniej urągać nieszczęśliwemu człowiekowi, zasługującemu na szczere współczucie, ale skoro sprawa stała się publiczną, należy przypomnieć, że on już dawniej, przed kilkunastu laty, musiał się leczyć z rozstroju nerwowego. Bądź co bądź, katedra bardzo ważnego przedmiotu została po nim opróżnioną. Zdawałoby się, że potrzeba na nią powołać badacza, któremu historya literatury polskiej najwięcej zawdzięcza, który szeregiem dzieł dowiódł ogromnej wiedzy, niezwykłej u nas gruntowności, bajecznej pracy, umiarkowania, rozwagi, krytycyzmu, który stworzony był na profesora — słowem, Piotra Chmielowskiego. Tak by zrobiono wszędzie, zwłaszcza że nie posiada on jednostronnego uznania jakiejś partyi, lecz wszechstronne. Wszędzie, tylko nie w Galicyi, która ma swój styl postępowania. Tam rozcięto zagadnienie inaczej: podzielono wykłady między dwóch profesorów, z których żaden nie jest specyalistą, a obaj są „obarczeni innymi obowiązkami.“ Wytarte czoła niech uderzą pokłon przed tą odwagą, która najdonioślejsze względy lekceważy dla dogodzenia mizernej prywacie. Nie dziwimy się ani szerokiemu oburzeniu na uchwałę wydziału, ani zwołaniu protestującego wiecu przez studentów.

Wyniki monopolu.

W r. 1897 i 1899 minister skarbu udał się do gubernatorów i innych przedstawicieli władzy z prośbą o wygłoszenie zdania o wynikach skarbowej sprzedaży trunków. Opinie te ministeryum wydało w osobnej książce, z której wyjątki podajemy według streszczenia gazety *Kijewlanin*, zamieszczonego w *Kuryerze Codziennym*: Wszystkie zdania zgadzają się na jedno, że obecne sklepy monopolowe sprzedają wódkę na miarę dobrą, nie sprzedają zaś pijanym. Wszyscy zapytani chwalą polepszenie się czystości spirytusu. Większość milczy o kuratoryach trzeźwości, niektórzy atoli nadają im znaczenie poważne. Ze zjawisk niepożądanych prawie wszyscy wykazują rozwój pijaństwa na ulicy i w rodzinach. Zdawało się, że w domu żona powstrzyma męża od wódki, tymczasem i ona z mężem pić zaczyna. W Królestwie Polskiem, guberniach północno i południowo - zachodnich przed wprowadzeniem monopolu nie było pijaństwa masowego, jak zgodnie świadczą raporty władz miejscowych. Obecnie zaś i tam, jak wszędzie, picie trunków na ulicy i na drodze weszło w zwyczaj, stąd zaś szerzy się zły przykład. Picie na ulicy jest złem, ale gorszem jest jeszcze pijaństwo w zakładach potajemnych, które powstały jednocześnie z monopolem i sprzedają wódkę na zastaw lub kredyt. Dawniej było mniej takich zakładów, bo szynkarze sami walczyli z nimi jako ze swoimi współzawodnikami. Obecnie zaś sprzedawca w sklepie skarbowym nie obawia się współzawodnictwa, a skarbowi to również nie szkodzi, bo zakłady potajemne handlują wódką skarbową. Policya mało zwraca na to uwagi, a wiejska nawet opiekuje się szynkami potajemnymi. Niektórzy administratorowie prowincyonalni uważają to zjawisko za przejściowe, inni zaś — jak utrzymuje *Kijewlanin* — słusznie są przejęci wielką obawą. Szynk dawniejszy pozostawał pod kontrolą policyi, chociaż ograniczoną, obecny zaś jest prawie nieuchwytny, więc mogą się w nim dziać przeróżne bezeceństwa. Przeciwdziałać mogą zakładom potajemnym jedynie porządne traktyernie i piwiarnie. Nikt nie żąda powrotu do szynków dawnych, ale wszyscy uczuwają potrzebę usunięcia objawów szkodliwych systemu obecnego. Niewielka ilość głosów pokłada nadzieje w kuratoryach trzeźwości, a większość wydaje bardzo blade o nich opinie. Generał-adjutant Dragomirow uważa, że „nie byłoby zbytecznem działalność kuratoryów poddać badaniom szczegółowym, ażeby tym sposobem określić sumę korzyści w porównaniu z sumami, wydawanemi na utrzymanie tych instytucyj. Może byłoby korzystniej owe sumy wprost zużytkować na potrzeby oświaty ludu i utrzymanie szkół ludowych, niż na herbaciarnie i podobne im instytucye.“ Biskup permski uważa, że głównymi działaczami w kuratoryach powinni być duchowni, „inteligencyę“ zaś traktuje z nieufnością. Sądzi także, iż zabawy świeckie, np. teatry, są niewłaściwe. „Cokolwiekbądź mówić będą stronnicy kuratoryów trzeźwości— pisze *Kijewlanin* — to jednak dotąd są one jakąś zabawką. Herbaciarnie, muzyka, tańce i nawet teatry są nietylko rzeczą niewinną, lecz i sympatyczną; ale czyż jest to poważna sprawa państwowa? Czyż nie razi to, że setki tysięcy wydaje się na zabawy „ludowe,“ na których nieraz niema „ludu,“ lecz tylko półinteligencya, a w tysiącach wsi niema szkół, albo też szkoły są umieszczone w nędznych dziurach, a nauczyciele mają po 50—60 rb. pensyi rocznej?! Dawniej nieporządny szynk zwracał gminie wiejskiej setki, a czasem i tysiące rubli, a porządny sklep skarbowy zabiera taką samą sumę od ludności, często i większą, nie dając w zamian nic, albo dając grosze od porządnych kuratoryów trzeźwości. Nikt chyba nie zaprzeczy temu, że nie można polepszać stanu materyalnego państwa drogą wódką skarbową, drogim cukrem i herbatą, tak samo jak nie można wpłynąć na moralność i obyczaje szklanką herbaty, kilkoma teatrami i nawet kilkoma czytelniami śród niepiśmiennej ludności. Sklep monopolowy wyciąga pieniądze z ludu jak dawniej i wypędza pijącego na ulicę, do bramy lub nory jakiej. Chociaż to wywołane jest dobrymi zamiarami, to jednak złych stron nie poprawia.“ *Kijewlanin* podaje następujący środek zaradczy: Nałożyć wysoką cenę na wódkę, ze zwrotem ludności chociaż 20—30% akcyzy, a wtedy w każdej wsi większej można będzie mieć szkołę i wiele innych rzeczy.

Szkoła handlowa dla rzemieślników.

P. Roch Kowalski założył w Warszawie szkołę, która przy należytem uposażeniu i prowadzeniu może oddać nieocenione usługi naszym rzemieślnikom. Posiada ona bardzo rozległy zakres i jednocześnie jest dostępną dla wszystkich, nawet dla anal-

fabetów. System wykładów oparty będzie na odpowiedniem ugrupowaniu uczniów, stosownie do ich przygotowania. Wykłady odbywać się mają w godzinach dziennych lub wieczornych, nauka zaś przedmiotów dodatkowych będzie uwzględnioną o tyle, o ile się zapisze odpowiednia liczba słuchaczów. Wogóle opłata wpisowa wynosi 60 rb. rocznie; zakład jednak czyni dla rzemieślników znaczne ulgi w tej mierze, pobiera bowiem 3 rb. miesięcznie. Nie znamy bliżej programu tej nowej szkoły; sądząc jednak z jej typu, można przypuszczać, że zastąpi ona naraz kilka zakładów naukowych, gdyż będzie uwzględniała różne szczeble przygotowania rzemieślników. Chodzi tylko o to, ażeby istotnie program nakreślony na papierze był w całej rozciągłości urzeczywistniony. Sekcya rzemieślnicza bardzo dobrze zrobiła, polecając ten zakład swym członkom. Taka jednak droga zachęty jeszcze nie jest zupełnie wystarczającą. Należałoby się jeszcze uciec do cechów.

Lekarze w bankach.

Prawo przewidziało konieczność pomocy lekarskiej w fabrykach, dla ludności robotniczej, lecz nie objęło swym opatrznościowym płaszczem licznej sfery urzędniczej, która pod względem materyalnym nie wiele wyżej stoi nad rzeszą robotników i rzemieślników fabrycznych. To jednak, czego prawodawca nie dojrzał, może bez przymusu być uskutecznione przez ludzi dobrej woli, stojących na czele naszych biur i banków. Przeciętne pensye pracowników biurowych są tak nizkie, że nie pozostaje ani grosza na czarną godzinę, szczególnie u urzędników żonatych i dzietnych. W razie choroby nieuniknione są długi, z których płyną następnie nieustanne troski, prowadzące do ruiny moralnej, ekonomicznej i fizycznej.

Oznaczony z góry przez instytucyę „fundusz lekarski“ mógłby być powiększony przez dorzucenie jakiegoś ułamku z zysków rocznych lub wreszcie i potrąceń z pensyi. Z tego funduszu powinni być również opłacani konsultanci - specyaliści, szpitale, apteki itp. *Ed. Dut.*

BADANIA NAUKOWE.

NAUKA, IDEAŁ I CZYN.

I.

Na ten temat toczą się od pewnego czasu w Niemczech ożywione, często nawet namiętne spory, wszczęto przez Edwarda Bernsteina. Przedmiotem krytyki tego publicysty jest od samego początku nowej fazy jego działalności przekonanie pewnych kół społeczeństwa, że zarówno ich ideał przyszłości jest wysnuty z przesłanek naukowych, jak codzienna działalność praktyczna na wskazówkach nauki się spiera, jak wreszcie ten ideał przyszłości tejże codziennej czynności przyświeca—że, jednem słowem, trzy te bóstwa stanowią łączność nierozdzielną. Dumne to przekonanie zaatakował Bernstein najpierw od strony ideału, przeciwstawiając mu praktykę codzienną i rzucając, niby żagiew niezgody, głośny aforyzm: „Cel ostateczny — ideał — jest dla mnie niczem, ruch — starania o korzyści na dzisiaj—wszystkiem.“ Jeżeli oddziaływanie nasze na bieg spraw społecznych ma rzeczywiście być zgodnem z wynikami badań naukowych i wymaganiami metody naukowej, to powinno być wolnem od względów na jakąś odległą, przypuszczalną tylko przyszłość; powodowanie się systemem przyszłości, istniejącym tylko w naszym umyśle, a który może nigdy w tej formie się nie urzeczywistni, pociąga za sobą nieliczenie się z siłami społecznemi i potrzebami teraźniejszości i jest szkodliwą pozostałością „utopizmu“ czyli też „blanquizmu.“ Przyszłość każdy przedstawiać sobie może, jak jego dusza zapragnie; jest to mniej więcej rzecz wiary, która powinna być pozostawiona uznaniu każdego, o którą nie warto się spierać, i która na dzisiejszą naszą taktykę nie powinna wywierać wpływu.

To wystąpienie Bernsteina miało skutek wręcz przeciwny spodziewanemu i zamierzonemu: wywołane przez nie wrzenie skończyło się silniejszem, niż kiedykolwiek od dawnego czasu, zaakcentowaniem wagi i wartości ideału, odległego celu społecznego. Uznano i oświadczono, że jedynie właśnie ten idealny cel nadaje każdemu ruchowi społecznemu określoną indywidualność i jedność, że uznanie go za podrzędny i bezwartościowy doprowadziłoby do zatarcia granic między różnemi stronnictwami, mogącemi się zgadzać w pojedynczych kwestyach dnia, do chaosu poprzednich, przypadkowych dążeń. Przytem jednak przeczono temu, aby ideał społeczny w dzisiejszych czasach musiał koniecznie być utopijnym, jak bywał nim u poprzedników, podkreślano tem silniej, że jest on tylko wywodem z naukowej metodycznej obserwacyi kierunku rozwoju społeczeństwa współczesnego. Otóż Bernstein, wytrwały w swem dążeniu do rozbicia owej trójjedności nauki, ideału i czynu w zakresie społecznym, zmienił od pewnego czasu front ataku: w sensacyjnym odczycie, którego echa w prasie różnych odcieni dotychczas nie przebrzmiały, i w późniejszych artykułach całym ciężarem swej krytyki uderzył na łączność nauki z czynem, z praktyką społeczną.

Każdy przyzna, że kwestya ta ma znaczenie nietylko specyalne, dla pewnego określonego prądu społecznego, ale i ogólne, zasadnicze, a wobec tego tem bardziej powinniśmy się nad nią zastanowić. Czyż rzeczywiście w naszem oddziaływaniu na społeczeństwo, w szerokim czy ciaśniejszym zakresie, nie możemy opierać się na podstawie nauki, jak to robi architekt lub chemik w oddziaływaniu na materyę martwą, rolnik lub hodowca — na żywą? Społeczeństwa, narody dziś rzeczywiście przedewszystkiem „czynu, czynu czekają“; to fakt. Czy prawda, że czyn ten koniecznie wyobrażać sobie musimy bez skrzydeł, które mu przyczepia, bez aureoli, w którą go przyozdabia świadomość zmierzania do idealnego typu społeczeństwa?

Przypatrzmy się argumentom Bernsteina. Przekonawszy się, że praktyczny ruch społeczny nie chce wziąć rozwodu z ideałem; staje on już na tym punkcie widzenia i z niego rozwija drugą stronę dylematu: w takim razie — rozwód z nauką. Ideał społeczny, który nie przestaje być dla niego zjawiskiem subjektywnem, jest już według niego niezbędnym czynnikiem składowym ruchu społecznego; ideał ten zaś wypływa z naszych pragnień, z oceny krytycznej, której poddajemy niezadawalającą nas teraźniejszość ze stanowiska naszych interesów i poglądów etycznych. Współczesny niby naukowy ruch społeczny nosi więc na sobie z konieczności pewne piętno utopizmu: bo z utopii w taki sam sposób budowali idealne obrazy przyszłego społeczeństwa. Utopizmowi zwykliśmy przeciwstawiać naukowość, ale nie trzeba zapominać o tem, że i tak zwani utopiści, Owen, Fourier, Saint-Simon, lubili powoływać się na naukę współczesną, twierdząc, że przemawia ona jedynie za systemem, proponowanym przez nich ludzkości. Gdy się tu widzi, jak w imię nauki występują teorye tak rozmaite, pod wieloma względami sprzeczne, bo trzeba do nich dodać także „naukowego“ w każdem zdaniu Proudhona i in. — to już przez to samo traci się wiarę w prawo którejkolwiek z nich do tego miana. W dzisiejszym ruchu czynnik naukowości jest powiększony, to prawda, czynnik utopizmu, subjektywizmu, zmniejszony — ale nie całkowicie wyparty. Cel ruchu opiera się wprawdzie bardziej na badaniu faktycznych, objektywnych dążności rozwojowych; ale w każdym razie konieczność nastania przewidywanego stanu społecznego z naukową ścisłością dowieść się nie da, ponieważ w rachubę wchodzi tu czynnik subjektywny, wola ludzka — a „ludzie nie są automatami.“ O nauce może być mowa tam, gdzie mamy do czynienia z prawidłowością zjawisk; tymczasem zjawiska społeczne nie podlegają takiej prawidłowości, jak przyrodzone wogóle. Udział woli ludzkiej odbiera ruchom społecznym jeszcze jeden niezbędny warunek naukowości: bezstronność. Bernstein powołuje się tu na aforyzm starego Bacona, który różnice między sprawami państwowemi a pracą naukową upatrywał w tem, że w nauce panuje nieustanny ruch i zmiana, nic niema stałego, gdy tymczasem państwo opiera się na władzy i powadze. Każde stronnictwo społeczno-polityczne jest także pod pewnym względem organizacyą władzy i jako takie, musi, zdaniem Bernsteina, być do pewnego stopnia nietolerancyjnem, mieć stałe wierzenia, krępować działalność naukową, odbiegającą od wytkniętego kierunku. Kierunek zaś ten nie jest wytknięty niezależnie od interesów stronnictwa, względnie klasy; każda grupa interesów ujmuje zjawiska społeczne ze swego punktu widzenia i tworzy system, teoryę. W dzisiejszych czasach każdy taki system zbudowany jest w sposób naukowy, ma formę naukową, nie mistyczną; ale „nie można lekceważyć różnicy między naukowo sformułowanemi teoryami i doktrynami a samą nauką.“ „Tak np. jakaś konserwatywna doktryna społeczna może być ściśle obmyślanym, logicznie zbudowanym systemem, ale przez to nie stanie się ona nauką socyologiczną, lecz tylko tak się do niej mieć będzie, jak — przypuśćmy — wegetaryańska książka kucharska do fizyologii smaku i odżywiania.“ Systemów, teoryj jest wiele, ale nauka, ale prawda w każdym zakresie jest i może być tylko jedna. „Żaden *izm* nie może być nauką.“ Nauką jest tylko to, na co zgodzić się może każdy człowiek bezstronny.

(D. n.)

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Józef Weyssenhoff: *Sprawa Dołęgi*, powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Czytelnicy *Biblioteki Warszawskiej* byli może zdziwieni lub zaniepokojeni pierwszymi rozdziałami powieści „Sprawa Dołęgi,“ dostrzegłszy w niej satyryczne oświetlenie arystokracyi, dokonane przez autora z „towarzystwa,“ w piśmie redagowanem przez magnata. Byłby to rzeczywiście niezwykły wypadek. Ci wszakże, którzy zaufali tak pewnej straży konsularnej nad arystokratycznym Kapitolem, jaką stanowi hr. Krasiński i ci, którzy zapamiętali treść podobnej satyry, jaką dał p. Weyssenhoff w poprzedniej swej powieści („Podfilipski“), nie dopuścili do siebie ani zdumienia, ani obawy i wierzyli niezłomnie, że mroki początku rozpłyną

się w światłach końca utworu. I nie zawiedli się.

„Sprawa Dołęgi" polega na tem, że młody inżenier, kolega uniwersytecki kilku arystokratów, wszedłszy przez nich do wyższej „sfery," oddał jej poważnym przedstawicielom na wychowanie i opiekę swój „projekt sieci dróg bitych." A właściwie oddał go „na garnuszek." Bo z tem umiłowanem jego dzieckiem przybrani ojcowie pojechali do Petersburga dla wyrobienia „koncesyi," ale dzięki swemu niedołęztwu wrócili z niczem, a raczej z dymem „szerszych planów" w pustych, zaczadzonych głowach. Złamany tym zawodem i ugodzony gromem konieczności rozdziału z młodą księżniczką, którą kochał i był przez nią kochany a poślubić nie mógł, biedny marzyciel dostał tyfusu, wyzdrowiał i „wierząc w przyszłość," zniknął z widowni. Jego wszakże przyjaciel i brat ukochanej Beatryczy, pod wpływem doświadczeń, rozmyślań, a nadewszystko czytania życiorysu pradziadka, spoczywającego w chwale zacnych czynów, poczuł chęć i zdolność do działania. Gdy go dawniej pobudzał do niej Jan Dołęga, Andrzej Zbaraski odpowiadał: „My do niczego, namby trzeba jakiejś elektrycznej kuracyi, nie mówiąc już o zamianie mózgów na inne. Marni jesteśmy, marni, mój Janku." I rzeczywiście są w powieści marni pod każdym względem i bez wyjątku: czy zamierzają „coś zrobić dla kraju," czy oceniają ludzi i rzeczy, perorują, kochają się, żenią, we wszystkich położeniach i stosunkach umieją zdobyć się tylko na puste a wyniosłe słowa, śmiesznie pretensyonalną wyroczność i fetyszyzm kastowy. Chociaż nie tonie i nie opada na dno tej nicości, pływa jednak w niej również najlepszy ze złych—Andrzej ks. Zbaraski. I oto nagle, gdy za wskazówką umierającego starego burgrabiego przeczytał opis zasług swego przodka, który „budował gmachy, kreślił plany ogólniejszego użytku, miłością swoją ogarniał całe plemię — pragnął zostać *pater patriae*," gdy o tem wszystkiem dowiedział się, „dreszcz go przejmował, nie lękliwy, lecz rozkoszny dreszcz natężonych pragnień. Zdawało mu się, że jest dzisiaj nowym człowiekiem: czuł, że trzeba, że chce godnie *panować* na Warze." I natura, jak gdyby czcząc ten nocny przełom w duszy młodego pana, kazała porankowi przybrać się uroczyście. „Niema już mgły między zamkiem (w Warze) a krajem... Witajcie pod jednem słońcem! — płynął głos poważny z góry. — Witajcie pod jednem słońcem! — gwarnie odpowiadały niziny. Andrzej, który dotychczas patrzył tylko na zamek, objął spojrzeniem rozpostartą szeroko krainę i wyciągnął do niej kochające ramiona: Ziemio moja!"

Obraz bardzo efektowny, ale w stylu operowym. Zarówno bowiem książę Andrzej, jak cała jego „sfera" ani w swej organizacyi psychicznej, ani w pobudkach, ani w siłach, uzdolnieniach i upodobaniach niema najdrobniejszych nasion, z którychby wyrosnąć i rozwinąć się mogła wielka, rozłożysta, płodna działalność społeczna. Wszystkie te stare i młode mastodonty będą w dalszym ciągu „patrzyły tylko na swoje zamki" i co najwyżej będą starały się lepiej „panować na Warze" i życzliwiej traktować żyjących z nimi „pod jednem słońcem." Do takiego tylko wniosku upoważnia rzeczywistość, nawet ta rzeczywistość, której skrawek p. W. odtworzył w swej powieści. Dlatego też dopóki on na swą paletę nakłada farby lekkiej ironii, delikatnej krytyki, daje sceny i postacie żywe, uchwycone wiernie i przedstawione znakomicie. Ale gdy zacznie malować je w przemienieniu dodatniem, macza pędzel w słodkiej wodzie. Poprostu życie nie dostarcza jego wyobraźni materyi i każe mu „stwarzać z niczego." Szklanną kruchość i szklanny dźwięk posiada również głośny, demokratyczny jego bohater, który na zbyt skromnej żerdce „projektu szos" rozwiesza swoje szerokie zamiary, olbrzymie dążenia i tragiczne bóle, pod którymi ona ciągle się łamie, gdyż autor nie umiał temu pomysłowi, nawet w znaczeniu przenośni, nadać większej wagi i mocy. Ale przynajmniej wierzymy, że ten blady cień jest odbiciem jakiegoś istnienia. Natomiast ani na chwilę nie wątpimy, że stare złoto arystokratyczne nie przetopi się i nie przebije na monetę pożytku społecznego, że ci rozpustujący, próżnujący, bezmyślni, niedołężni, skostniali w przesądach, zakrywający swą pustkę wewnętrzną nikłym frazesem lub wyniosłem milczeniem „naturalni przewodnicy narodu," pomimo narkotyzacyi „rycerskich wspomnień" „szczepienia im ospy „obywatelskiej," zawsze będą patrzyli ze czcią na rasowe konie, a ze wstrętem na nierasową kanalię ludzką.

P. Weyssenhoff jest nietylko socyologiem „wyższej sfery," lecz także dużym i oryginalnym talentem; więc jego powieść, myślowo słaba, jest mimo to artystycznie piękną. Niektóre figury (pomiędzy niemi dziwnie ujmującą a prawdziwą jest młodziutka księżniczka Halszka Zbaraska) on pierwszy wyprowadził i on jedynie mógł z blizka podpatrzeć. Tak, to są oni, znani nam ze swych cieniów, rzucanych na ekrany życia i z ech ochrypłego głosu. Niezwykła zdolność subtelnych spostrzeżeń i delikatnego rysunku pozwala autorowi przedstawiać te postacie z wyjątkową sztuką. I to stanowi główną nietylko artystyczną, ale i społeczną wartość jego utworów. Bo chociaż p. W. więcej zaciekawia, niż zadawala, chociaż przepuszczając słabe prądy elektryczne przez paralityków, ludzi siebie i czytelnika, że z nich zrobi dzielnych bohaterów, chociaż kangury społeczne, którym przednie kończyny zanikły w bezczynności i które w swym chodzie i skokach opierają się na ogonach, odważa się zaledwie głaskać pod włos, jednakże pokazuje nam te kangury bez przebrania w szaty „kapłanów świeckich." Jego cicho między wierszami wyszeptana utopia rajskiej harmonii żywiołów, której rodowcy nadawać będą rytm, ton i koloryt, jest marzeniem dość naiwnem zarówno ze względu na ten materyał, z którego teraźniejszość lub przyszłość ma stwarzać nowych ludzi i ich idealne stosunki, jak ze względu na te formy, w jakich się odciska życie. Wyznamy szczerze: jeżeli nasi pełnokrwiści chcą zachować swą kastę w czystości i wyosobnieniu, lepiej uczynią, oparłszy się kuszeniom p. W., które mogą dostarczyć tylko smaku dobrych czynów nielicznym jednostkom, ale powoli zgubią klasę. Ta pewniej się zabezpieczy w dotychczasowem zgnuśnieniu, a wywołane z niej przez p. W. czarnoksięską łaską talentu postacie będą nosiły na sobie lepszą starą „patynę."

H. Dołęga.

FILHARMONIA WARSZAWSKA.

Jak wszelkie przedsięwzięcie artystyczne, a zwłaszcza muzyczne, świeżo zbudowana i w zeszłym tygodniu dla użytku publicznego otwarta Filharmonia warszawska rozparła się szeroko w naszem życiu społecznem. Prasa uznała powstanie tej instytucyi za wypadek niemal wszechświatowego znaczenia a pierwszy inauguracyjny koncert—za uroczystość tak wielką, że jej żadna inna, możliwa i niemożliwa w naszych warunkach, przewyższyć by nie zdołała. Dzień więc 5 listopada 1901 r. stał się datą pamiętną w dziejach naszych, obok której zaledwie kilka z najszczęśliwszych chwil przeszłości postawić wolno—jeśli wolno.

Po za tą krzykliwą i poniekąd bezmyślną przesadą entuzyastycznych wybuchów, usunąwszy z dyskusyi pytanie, czy wydatek 800,000 rb. na ten cel był istotnie ofiarą dla „najpilniejszej potrzeby," należy przyznać, że chociaż Filharmonia obok Towarzystwa muzycznego stanowi drugi, tylko okazalszy grzyb w naszym melomańskim barszczu, jest nabytkiem pięknym, cennym i pożytecznym. Głównie posiada ona tę wartość z dwu względów: daje miastu gmach z obszernemi, akustycznemi salami na koncerty i daje mu stałą, liczną orkiestrę — czego Warszawa dotąd nie miała. Ten gmach (jak to już wskazuje sam jego koszt), dogadzający najwybredniejszym wymaganiom zbytku i wygody, ta orkiestra z 60 członków złożona i po całej Europie werbowana, wreszcie ogromna maszyna administracyjna i techniczna — wszystko to złoży się na brzemię, którego bez pewnego wysiłku nie podniosła..y milionowa stolica wielkiego społeczeństwa, a który dźwignąć musi dość uboga publiczność nasza, tłumnem i ciągłem uczestnictwem w koncertach. Strata procentów a nawet kapitałów założycieli, ludzi bogatych, mało nas obchodzi; skoro wszakże już przybytek sztuki powstał i dla jej dobra należy go utrzymać — rodzi się obawa wyrażona nawet publicznie (w *Wędrowcu*) przez jednego z apologetów, pana Żeleńskiego: „czy skala nie okaże się zbyt wielką"—zwłaszcza, że pierwszym naszym zapałom dla nowości ufać nie można. Podnosimy wątpliwość i nie stawiamy złej wróżby; w każdym jednak razie sądzimy, że zarząd powinien puścić bez uwagi mimo uszu lekkomyślną radę (także w *Wędrowcu*) p. Bylickiego z Krakowa, ażeby zaniechano „koncertów popularnych." Takie arcykapłańskie rady, wygłaszane z „wyżyn sztuki" i pragnące w jej świątyniach odprawiać nabożeństwa jedynie dla wybranych, poświęconych i wtajemniczonych, z wyłączeniem gawiedzi, nietylko zdradzają mądrość sowią, ale także mogłyby sprowadzić fatalne skutki dla kasy, której nie wypełnią same dostojne kieszenie.

Ale przejdźmy do sprawozdania.

* *

Czy znacie wstępne mowy urzędowe, poważne, zimne, uroczyste? W muzyce takie mowy zowią kantatami.

Otwarcie Filharmonii warszawskiej bez takiej mowy obejść się nie mogło. Usłyszeliśmy kantatę Wł. Żeleńskiego, ze zwykłym u tego mistrza bogactwem efektów orkiestrowych, do czego nie mało przyczynił się wspaniały głos organów. Kantatę odśpiewały chóry Lutni męzkiej i solo barytonowe, p. Grąbczewski, wyraźnie rzucając słuchaczom słowa Or-Ota:

Bo gdy jak upiór krąży tęsknota...

Wielkie zaciekawienie wzbudził drugi numer koncertu symfonia D-moll Z. Stojowskiego. Jest to autor młody i oryginalny.

Pierwszy frazes muzyczny uderza słuchacza jakąś bolesną, epiczną prawie skargą, którą dźwięczy część pierwsza *Andante*, przewija się ona z drugim tematem jak tło niezmienne. Główny motyw części drugiej, kantylena na klarnet, to jakieś rozmarzenie, rozkołysane nad wielkiemi obszarami pól naszych, przerwane niby wichrem, motywem innym, podjętym *fortissime*, z którego znów wypływa skarga z części pierwszej. Część trzecia to istne *scherzo* chochlików, igrających w zaczarowanym lesie zielono-srebrnym od promieni księżycowych. Przez ich ruchy migotliwe przebija się znowu choć w innym rytmie skarga z części pierwszej.

W części czwartej wraca temat z części drugiej i, łączy się kunsztownie z ubocznym tematem z części pierwszej; całą symfonię kończy niby nagły błysk miecza krótka, tryumfalna fanfara.

W dziele p. Stojowskiego niema ani jednego pospolitego frazesu muzycznego; jest wykwint formy, służący szczeremu natchnieniu, jest wdzięk, serdeczność i myśl głębsza, poważna.

Trzeci numer koncertu przenosi nas wyobraźnią do tych lat błogich, gdy stara niańka opowiadała nam o królewnie zaklętej i królewiczu nieustraszonym. *Bajkę*, prawdziwie obrazową bajkę Moniuszki gra nam orkiestra. Po raz pierwszy słyszano ją w Wilnie, w r. 1848, a jest tak świeżą jak twarzyczki dziecięce, mieniące się zaciekawieniem, strachem, radością, stosownie do słów starej niańki, do wyrazu jej twarzy, oświetlonej blaskiem ognia, płonącego na kominie.

Pan Noskowski jest mistrzem kontrapunktu, czego dowodem „Step," poemat symfoniczny, ale nie jest mistrzem smaku: pieśń kozacza w „Stepie" to ubogi paciorek w skarbcu ukraińskim, a bitwa, podczas której odzywają się wszystkie instrumenty blaszane, zdaje się głosić, że nie toczą jej rycerze, a proste żołdaki.

Ten brak smaku Noskowskiego uwidocznił się na koncercie inauguracyjnym, przez sąsiadowanie „Stepu" z Symfonią Stojowskiego i z Koncertem na fortepian i orkiestrę Ignacego Paderewskiego. W tym ostatnim orkiestra i fortepian grają równie ważne role w oddawaniu tematów o kolorycie swojskim, wyrzeźbionych w szczegółach najdrobniejszych dłutem mistrzowskiem. Misterność opracowania występuje szczególnie jasno w części II-ej koncertu. Jaka tu miara we wszystkiem, jak nic nie głuszy tematów głównych, a tylko uwydatnia, podkreśla wszystkie ich odcienie, mieniące się jak kryształ, na który pada promień słońca.

Na ostatni numer programu Paderewski wykonał kilka dzieł Chopina, ze zwykłym sobie wdziękiem i urokiem.

Koncert inauguracyjny był jakby skrótem obecnego stanu naszej twórczości muzycznej, miał też charakter jednolity.

Wysoki poziom artystyczny, ani śladu banalności, odrębna barwa swojska motywów muzycznych — oto cechy, które wyraźnie wystąpiły.

Jest w naszej muzyce rzewność, tęsknota i zaduma, jest uśmiech pogodny (*Bajka*), jest refleksya i liryzm głęboki; nie usłyszeliśmy jednak dzieła, w którem zabrzmiałaby Moc wstrząsająca, krzesząca w sercach zapał, każdym tonem wołająca *Excelsior!*

. . . .

Na zakończenie słówko jeszcze o sali Filharmonii warszawskiej.

Słuchaczu zachwycony, nie wznoś oczu ku niebu, od którego oddziela cię plafon sali koncertowej.

— Widzieliście już szablony spróchniałej mitologii w rozwianych draperyach amorków, fikających uroczo, różowe boginie i czerwone płaszcze bohaterów Olimpu?

— Więc nie patrzcie na plafon sali koncertowej, chociaż ujrzelibyście osobliwości: dwóch panów w tużurkach, którzy zapragnęli przyjrzeć się z bliska Olimpowi, niby owi *habitués* baletowi, idący podczas antraktu za kulisy.

Sala ma akustykę wyborną, oświetlenie dostateczne, źródła światła są jednak zbyt widoczne i rozmieszczenie tulipanów elektrycznych przypomina rażąco iluminacyę. Czy nie można było zastąpić malowideł plafonowych sufitem zasianym bukietami lamp elektrycznych? Sala zyskałaby na tej zmianie.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. W Perzyński: „Poezye" str. 74. Wyd. Wł. Okręta.

— H. ks. Drucki-Lubecki: Tom I: „Bolesław Śmiały." tragedya w 5 aktach; „Erizzo." tragedya w 5 aktach z czasów wzięcia Eubei przez Turków. — Tom II: „Walgierz Wdały," dramat fantastyczny w 5 aktach; „Szatan," dramat fantastyczny w 5 aktach. Skład u Gebethnera i Wolffa.

POWIEŚĆ. T. T. Jeż: „Narzeczona Harambaszy," z dziejów Słowiańszczyzny południowej. Skł. w Księgarni Polskiej, Warecka 14.

— Janusz Pełka: „Handlarze." Nakład Dubowskiego.

— H. Sienkiewicz: „Ums liebe Brot," w przekł. niem. J. Frankla. Bern, u Benteli'ego.

STATYSTYKA. H. Wierciński: „Opis statystyczny gub. Lubelskiej." Skład u Kiesewettera w Lublinie.

PSYCHOLOGIA. Ribot: „Psychologia uczuć," przeł z drugiego wydania franc. K. Okuszki. Wyd. *Przegl. Fil.* Skład u Wendego.

SPOŁECZNE. „Ustawy komisyi edukacyjnej narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane w r. 1783." Wydanie nowe staraniem D. Bujalskiego. Nakład Borkowskiego.

— Karejew: „Idealy obszczawo obrazowanja." Petersburg. Stasiukiewicz.

POEZYE

W noc ciemną

Skrzydłami, spowitemi w krepy czarnej zwoje,
Oparła się o góry noc bezksiężycowa.
Zamknęła nad kotliną milczenia podwoje
I patrzy w śpiące miasto — spoczynku królowa.

Śród wściekłych wiatru szarpań, w kłębach mroku stoję —
U stóp mych panorama złoto-dyamentowa,
Amfiteatr gwiaździsty: złotych świateł roje;
Lecz wyżej — nieobjęta ciemnica grobowa.

Czarne, dzikie olbrzymy zwartem stoją kołem,
Zda się, rykną i runą w oazę świetlaną,
I zgasną te światła, które tu z mozołem

Duch twórczy pozapalał dłonią spracowaną.
Lecz nie! Oto znów błysnął nad skał ciemnem czołem
Mdły ognik! Więc niech żyje, co ma światła miano!

Życzenie.

Kiedy stoję na szczycie góry niebotycznej
I śledzę lot królewski rudawej orlicy,
Chce mi się nagle łanów złocistej pszenicy
Z Maćkowej gruszy cieniem na miedzy granicznej.

Kiedy patrzę na pląsy wschodniej tanecznicy,
Leniwe, lubieżności pełne fantastycznej —
Słucham: może doleci mnie rytm energiczny
Obereczka od ucha i w lekkiej spódnicy.

W muślinowych osłonach, cudna, zadyszana
Przemknie wirem koło mnie i na krzesło padnie...
Hej! Co było, nie wróci Niech się goi rana!

Wejdźmy do herbaciarni perskiej, kędy snadnie
W namiętnym zgiełku *dajry*,*) huczącej bezładnie,
Można upić się wrzawą i dymem kaljana.

Wacław Rogowicz.

*) *Dajra*—tamburyno wschodnie.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZESILENIE W ROSYI.

Rozwój przemysłu rosyjskiego w znacznej bardzo części był wynikiem protekcyjnej polityki ekonomicznej państwa. Wszystkie cła od towarów zagranicznych zapewniały wysokie ceny na rynku wewnętrznym i były rękojmią znacznych zysków dla przedsiębiorców; polityka kolejowa, prowadzona systematycznie, dążyła do ułatwienia komunikacyi taniej na olbrzymich przestrzeniach cesarstwa, a zarazem budowa forsowna linii kolejowych zapewniała odbyt zakładom przemysłu fabrycznego; jednocześnie też reformowano prawodowstwo handlowe ułatwiając zakładanie stowarzyszeń akcyjnych; organizacyę kredytu znacznie ulepszono; przytem polityka zewnętrzna dążyła do otwarcia wyrobom przemysłu rosyjskiego odbytu na Wschodzie — w Azyi środkowej, w Chinach, Persyi. To też ostatnie dziesięciolecie, a zwłaszcza lata od 1896 — 1899, były okresem niebywałego dotąd rozwoju, jak okazuje się teraz—nadmiernego.

Już na jesieni roku 1899 giełda petersburska, na której przez kilka lat z rzędu panowała nieprzerwanie dążność zwyżkowa, przeżyła kilka dni krytycznych: na początku października kurs akcyj zaczął spadać z niebywałą szybkością, groził ogólny „krach." Tylko wdanie się banku państwa zapobiegło klęsce w wielkich rozmiarach. Optymiści pocieszali się wówczas tem, że jest to przesilenie czysto spekulacyjne, wywołane naprężeniem stosunków na międzynarodowym rynku pieniężnym, i twierdzili z całą pewnością, że „podstawy są zdrowe." Minęło od tego czasu dwa lata i dziś, przebiegając cedułę giełdy paryskiej i brukselskiej, możemy stwierdzić bezprzykładne niemal spadki kursów akcyj przedsiebiorstw rosyjskich. Naprzykład: za akcye Towarzyst. zakładów hutniczych uralsko - wołżańskich płacono przed dwoma laty po 725 franków, dziś tylko—30; akcye zakładów korczańskich notowano jeszcze przed rokiem po 870, dziś notują 160, akcye zakładów metalurgicznych w Krzywym Rogu, których kurs najwyższy był 3995, dziś notowano są po 1660; akcye zakładu Briańskiego z 1525 spadły na 380; zakładu Dnieprzańskiego z 5360 na 2100 itd. itd. Są to straty olbrzymie, przypominające czasy gryndierstwa berlińskiego. Nie lepiej też brzmią wieści o stanie produkcyi: Przemysł tkacko przędzalniczy już oddawna uskarża się na zupełny zastój, w przemyśle żelaznym i węglowym, bankructwo za bankructwem; w przemyśle naftowym krach, w ceramicznym to samo itd. Jaskrawo np. charakteryzują położenie rzeczy ceny żelaza: Płacono za pud surowca na początku roku 1900 w okręgu południowo-rosyjskiem po 60—80 kop., a nawet po tej cenie wygorowanej nie można było otrzymać towaru; zakłady hutnicze nie przyjmowały wprost zamówień, dzisiaj zaś można dostać wszelkie żądane ilości po 45 kopiejek, a nawet niżej, podczas gdy koszty produkcyi spadają na 55 kop. za pud; za blachy żelazne do kotłów płacono po 1,85 rb. — dziś 1,30; za belki żelazne 1,70 rb.—dziś 1,15 rb. Tymczasem zaś *Wiestnik Finansów* podaje o produkcyi tego okręgu następujące cyfry: Liczba wielkich pieców wynosiła na początku 1900 roku 54, z których było w ruchu 35, w budowie 12, w naprawie 3, a zagaszonych 4; zaś 1 lipca r. b. było pieców 55, z nich w ruchu 32, w budowie 4,

w naprawie 6, a zagaszonych 13. Wytopiono surowca w pierwszem półroczu roku bieżącego 44,937,000 pudów, zaś w pierwszem półroczu 1900 r.—45,114.000 w drugiem 46,792,000, natomiast wywieziono na rynki 11,264 pudów, tj 1,400 pudów mniej niż w drugiem półroczu 1900 r. A więc nagromadzają się zapasy, na które fabrykanci nie znajdą odbytu, pomimo, że czwartą część pieców wstrzymano. Co zaś do gotowego produktu, to organ wspomniany oblicza, że zapasy powiększyły się o 4 miliony pudów, w porównaniu ze stanem r. b. A oto kilka danych, wyjaśniających położenie w przemyśle naftowym: W styczniu roku bieżącego płacono w Baku za pud nafty 20 — 21 kopiejek, obecnie zaś 8 kopiejek, cena nafty surowej używanej do opalania kotłów, spadła z $15^3/_8$ kop. na $7\frac{1}{4}$ kop. Tymczasem produkcya w roku 1900 wzrosła w porównaniu z rokiem ubiegłym — nafty o 16,15%, mazutu o 24,37% i co ciekawsza, produkcya ta wzrasta i teraz jeszcze bez przerwy. W obu tych gałęziach przemysłu mamy zatem do czynienia bezwarunkowo z nadprodukcyą, z przesileniem wskutek nadprodukcyi. A bezwątpienia, takie same warunki panują w innych gałęziach przemysłu, jakkolwiek nie posiadamy tu cyfr dla braku statystyki urzędowej.

Jeżeli więc będziemy szukali przyczyn przesilenia obecnego, to musimy zwrócić zarówno uwagę na czynniki powodujące nadmierny wzrost produkcyi, oraz na normujące odbyt towarów.

Co do pierwszych, to nie ulega kwestyi, że wzrost produkcyi był spowodowany spekulacyjnemi dążnościami kapitału. W latach od 1895 do 1899 panowała w całej Rosyi gorączka „grynderska,“ prawdziwa mania spekulacyjna, wywołana właśnie ową polityką protekcyjną. Wojna handlowa pomiędzy Rosyą a Niemcami spowodowała przeniesienie licznych zakładów fabrycznych za kordon celny, a tem samem uwaga świata kapitalistycznego została zwróconą na Rosyę, jako na raj zysków kapitalistycznych. Kapitały zaś wówczas były do rozporządzenia w Europie w ogromnych rozmiarach, wskutek ogólnego ożywienia stosunków, banki więc mogły liczyć na łatwe umieszczenie nowych emisyj akcyj. Przyczyniła się też do tego reforma monetarna, gdyż zniosła ona wahanie kursu rubla i ożywiła obroty wekslowe pomiędzy Rosyą a rynkiem pieniężnym Zachodu. Bardzo wielką też rolę odegrały pożyczki miliardowe, zaciągnięte przez państwo we Francyi. Pożyczki te były w znacznej części przeznaczone na cele gospodarcze, przedewszystkiem na budowę dróg, a po tych inwestycyach słusznie spodziewano się rozwoju ekonomicznego. Wobec takich więc warunków napływ kapitałów był ogromny, a i przedsiębiorstwa nowe łatwo mogły być finansowane; istniejące zaś łatwo mogły znaleźć kapitały na powiększenie produkcyi. Ciekawą statystykę pod tym względem podaje jedno z pism belgijskich, wyliczając towarzystwa akcyjne i włożone w nie kapitały. Istnieje według tej statystyki w Rosyi:

	[illegible]	[illegible]	[illegible]
tramwajowych	22	82	72
metalurgicznych	37	245	227
kopalń węgla	14	101	90
gazowych	3	29	27
innych	98	388	313

Jest więc podług tej statystyki włożonych w przedsiębiorstwach przemysłowych samego tylko belgijskiego kapitału 729 milionów franków. Kapitał zaś ten w przeważnej połowie napłynął do Rosyi w ostatniem dziesięcioleciu. Zrozumiałem się więc staje, że taki olbrzymi napływ kapitału mógł pobudzić do życia ogromne siły produkcyjne w przemyśle i łatwo doprowadził do przerostu. Zważyć przytem należy, że w znacznej części te nowopowstające zakłady przemysłowe nie miały do zwalczenia żadnego prawie współzawodnictwa, a wskutek tego zyski od kapitału były ogromne. Wraz z zyskami zaś wzrastał kurs akcyj, rozwijał się ażiotaż temi akcyami, tj. kupowano je jedynie z celem zysku na podwyższenie kursu. Te obroty czyniły dla banków zagranicznych emisye akcyj rosyjskich nader korzystnemi, skoro mogły liczyć na sprzedaż akcyj po kursie znacznie wyższym, niż ten, przy jękim podejmowały się emisyi. Wzrastała zatem chęć finansowania nowych przedsiębiorstw, zrodziło się typowe „grynderstwo,“ tj. zakładanie towarzystw akcyjnych jedynie w celu ciągnięcia zysków z obrotu akcyami. Taki zaś prąd z konieczności musi odbić się w sposób niekorzystny na przebiegu procesu produkcyi. Towarzystwa bowiem, powstające w ten sposób, częstokroć nie mają żadnych warunków rozwoju, po części zaś muszą celem wypłacenia przynajmniej w pierwszych latach wysokiej dywidendy, gonić za zyskiem chwilowym, doraźnym, bez względu na przyszłość. Są one w znacznej części niedostatecznie zaopatrzone w kapitał, muszą żyć kredytem. Ten kredyt jednakże w Rosyi jest trudniej dostępnym, niż w krajach Zachodu (dotąd jest jeszcze niezmiernie wielka liczba weksli rosyjskich, dyskontowanych w Berlinie). Tem więc tłomaczy się wielka liczba krachów, które zdarzyły się w ostatnich czasach a dotknęły w znacznej części właśnie nowo powstałe towarzystwa akcyjne. Takie zaś bankructwa z konieczności muszą oddziaływać na całą produkcyę, gdyż jedno przedsiębiorstwo jest zawsze odbiorcą dla całego szeregu innych. Weźmy przykład: W r. 1897 powstało Towarzystwo Władimirowskie wyrobów garncarskich, głównie ogniotrwałych dla fabryk metalurgicznych. Kapitał zakładowy w wysokości miliona franków zebrano w Belgii i w pierwszych dwu latach po ukończeniu budowy fabryki towarzystwo wypłaciło po 10% dywidendy, teraz zaś — likwiduje się, ponieważ wyroby nie znajdują odbytu wskutek zastoju w przemyśle metalurgicznym. W dodatku towarzystwa takie częstokroć są połączone z sobą jeszcze i w ten sposób, że jedno z nich bierze udział w finansowaniu drugiego. Tak np. Towarzystwo zakładów metalurgicznych Doniec-Jurjew wzięto w administracyę urzędową z powodu grożącego bankructwa, a ostatni bilans, przedstawiony akcyonaryuszom, wykazuje, że w aktywach figurowały dotąd akcye innych przedsiębiorstw, zakupione przez Towarzystwo, pomiędzy innemi 3,333 akcyj Południowo-Rosyjtkiego Towarzystwa górniczego, założonego w r. 1899, których wartość podano na 624,937 rb., podczas gdy komisya urzędowa oceniła te papiery na rubli — jeden!, wierzycielami zaś Towarzystwa są nietylko banki, lecz znów towarzystwa akcyjne przedsiębiorstw przemysłowych, pomiędzy innemi towarzystwa zakładów hutniczych Aleksejew na 3,3 mil. rubli i „Providence“ na 206,000 rubli. W ten sposób więc niedomagania jednego towarzystwa odbijają się niekorzystnie na całym szeregu innych.

Jeżeli teraz okazuje się, iż spora ilość przedsiębiorstw jest niewłaściwie finansowanych, jednakże nie zmienia to postaci rzeczy, że produkcya wskutek tej spekulacyjnej działalności wzrastała szybko w ciągu ostatnich lat kilku.

Ten przyrost produkcyi zaś okazuje się niezgodnym z popytem na wyroby przemysłu. Dotąd jeszcze głównym odbiorcą dla wyrobów przemysłu żelaznego jest państwo, ktorego zapotrzebowania były i są ogromne wskutek budowy kolei żelaznych. Jednakże z chwilą ukończenia kilku wielkich linij kolejowych zapotrzebowanie musiało się znacznie zmniejszyć, a zmniejszenie obstalunków przyczyniło się w znacznej części do wybuchu przesilenia. Przedewszystkiem wszakże sprowadza się ono do tego, że zapotrzebowanie na rynku wewnętrznym jakkolwiek wzrasta, ale bardzo powoli. Przyczyny zaś tego szukać należy w ubóstwie najliczniejszej w Rosyi klasy ludności — włościaństwa. Wszyscy bez wyjątku badacze stosunków rolnych Rosyi, dochodzą do wniosku, że gospodarstwa włościańskie są w stanie opłakanym, że panuje tu zastój, jeżeli nie zacofanie. Nieurodzaje w ostatniem dziesięcioleciu były tak liczne, jak nigdy dotąd, są one w części tylko spowodowane przez nadzwyczajne warunki klimatyczne, w znacznej zaś mierze właśnie wynikły z niesprawności gospodarczej: Klęska nieurodzaju, gdy raz dotknie dany obszar, powoduje zupełne wyniszczenie gospodarstw, nieposiadających żadnych zasobów — włościanie są zmuszeni wyzbyć się inwentarza, którego nie mogą wyżywić, skutek zaś stąd taki, że rola nie może być należycie uprawną i nawożoną w kilka jeszcze lat po klęsce, a w takim stanie może wydać plon tylko przy nadzwyczajnie sprzyjających warunkach pogody, zwykłe zaś, przeciętne warunki, muszą sprowadzić znów nieurodzaj — i tak w kółko. Zasobny rolnik na Zachodzie jako tako zniesie nawet kilka lat nieurodzaju, mało zasobny rosyjski upada prawie bez nadziei dźwignięcia się już po jednym nieurodzaju. W takich więc warunkach popyt na wyroby przemysłu śród włościan rosyjskich wzrastać nie może. Miasta rosyjskie wprawdzie wzrastają szybko w ludność, ale przyrost ten powstaje wskutek masowego przesiedlania się do miast włościan, którzy musieli porzucić rolę. Ludzie ci garną się do miast portowych i fabrycznych i stają do usług wielkiego kapitału. Lecz wobec ogromnego napływu popyt na ręce robocze jest mniejszy, niż podaż i płaca robocza pozostaje bardzo nizka, zwłaszcza że i jakość pracy tego żywiołu napływowego jest bardzo nizką. (Znanym jest fakt, że zakłady rosyjskie muszą zatrudniać znacznie więcej ludzi dla wykonania tej samej pracy, co zachodnie, a nawet nasze polskie). W ten sposób ludność robotnicza nie może być również spożywcą wyrobów przemysłu w takim stopniu, aby popyt jej odpowiadał wzrostowi produkcyi. Co do rynków znów zewnętrznych, azyatyckich, to popyt na nich szybko się pokrywa natychmiast po otwarciu dróg handlowych, a później przez lata całe jest bardzo mały.

Takie przyczyny złożyły się na wybuch przesilenia, że zaś przybrało ono tak ostre formy, to już wina warunków ogólnie panujących na rynku pieniężnym wszechświatowym, o których wypadnie pomówić osobno.

Dr. J. B. Marchlewski.

NA MARGINESIE.

Alkohol i prostytucya. Pani Legrain, założycielka i przewodnicząca „Związku wstrzemięźliwości kobiet francuskich“ (*Union française des femmes pour la tempérance*) przedstawiła w roku bieżącym, w maju, na kongresie międzynarodowym abolicyonistów w Lyonie referat, dotyczący alkoholizmu i prostytucyi, który został w całości wydrukowany w ostatnim (11-ym) numerze *Revue de morale sociale*.

W referacie tym, w niewielu słowach znajdujemy zawartą wiązankę charakterystycznych szczegółów, stwierdzających, jak ściśle te dwie plagi społeczne: pijaństwo i sromota kobiety, łączą się z sobą. Najbardziej spodlona kobieta na trzeźwo nie poddałaby się prawdopodobnie temu, czego od niej rzemiosło wymaga; najczynicz-

niejszy mężczyzna odnalazłby w sobie jakiś resztki sumienia, więc pić muszą oboje, aby utopić te okruchy duszy ludzkiej. Sprzedaż trunków, to źródło największego dochodu w domach publicznych, daleko większego, niż handel ciałem ludzkiem.

W pierwszorzędnych zakładach tego rodzaju gość płaci 3 franki za butelkę absyntu, 25—30 fr. za butelkę szampana, 10 fr. — wina reńskiego. Dziewczyny płacą także za to, co piją, tj. zapisuje się im na rachunek przeciętnie 10 fr. za butelkę. Z tych rachunków właśnie rosną długi, którymi, jak gwoździmi, przykuwają je do zakładu. Przy każdem jedzeniu każą pić: *kieliszek araku* przy rybie, *kieliszek araku* przy mięsie lub wędlinie, *kieliszek koniaku* przy sałacie, a przy kawie *kirsh*, *jałowcówka* itp. Wino zwyczajne pić muszą w takim stosunku: ta, która miała 10 klientów, obowiązana jest wypić 10 butelek po 50 centymów; która pić nie chce, płaci *5 franków kary*. Za najmniejsze wykroczenie przeciw przepisom domu dziewczyna skazywana jest na wypicie pewnej porcyi szampana lub absyntu i ażeby podołać temu, musi uciekać się do pomocy ciepłej wody z solą, która pobudza do wymiotów. Czy w dzień, czy w nocy kieliszek musi krążyć nieustannie. Dochód ze sprzedaży trunków podczas jednego wieczoru oblicza się często *na tysiące*. W niektórych domach istnieje pewien rodzaj konkursu w tym celu: dziewczyna, która przynosi największy procent od sprzedaży, dostaje żeton. Po upływie miesiąca ilość takich żetonów stanowi o wysokości nagrody: za trzysta żetonów otrzymuje.. koszulę jedwabną! W innych razach w dowód najwyższego zadowolenia oszczędzają jej przykrości odwiedzin lekarskich. Całe więc powodzenie przedsiębiorstwa zależy od ilości rozchodzącego się trunku. Bywają jednak takie, na które alkohol w zwykłej postaci już nie działa; te odurzają się wodą kolońską, eterem, których dostarczają im sami klienci, najczęściej aptekarze. Absyntu piją bardzo dużo, to też wiele z nich cierpi na epilepsyę.

Owoce bez nasion. Wiadomo, że słodki miąsz, okrywający ziarna owocu, dla rośliny ma tylko znaczenie czysto praktyczne: służy za przynętę dla zwierząt i rozprzestrzenienie ziarn nasienia tą drogą. Rośliny, rozrzucające swe nasiona innym sposobem, jak tarnina np., która czepia się sierści zwierząt, miękiszu w owocach suchich nie wytwarzają. Z tego względu trudno sobie objaśnić istnienie owoców, nie posiadających nasienia, a jednak takt to wcale nie rzadki wśród drzew owocowych. Nie posiadają ziarn niektóre gatunki winogron, daktyli, ananasów, bananów, jabłek, dyń itp.

Już w starożytności znano i ze szczególną pielęgnowano starannością winną latorośl, której jagody nie posiadały ziarn. Na drzewa, których owoc nie zawierał nasienia, patrzano jak na nadzwyczajny dar nieba, opowiadano o nich legendy. Istnieje podanie o św. Diego, przełożonym klasztoru na jednej z wysp Kanaryjskich, że, jedząc raz daktyle, złamał sobie ząb o pestkę i przeklął drzewo, skazując je na wydawanie owoców bez pestki, tymczasem na wyspie znajduje się dużo więcej drzew, rodzących owoce bez nasienia.

W XVI wieku wykryto jabłoń z owocami nie zawierającymi ziarnek, małymi, lecz bardzo słodkimi i smacznymi. I dużo jest roślin wogóle nie wydających nasienia np. *Lysimachu*, *Vinca minor*, *ramunculs ficaru* itp.; także niektóre kaktusy z gromady *opunia*; owoce tych ostatnich nie zawierają nasion, służą tylko jako przynęta dla zwierząt, których sierści czepiają się kolcami pokryte łodygi, rozmnażanie odbywa się właśnie za pośrednictwem tych łodyg.

Wiadomo też wszystkim, że rośliny, przeniesione w bardzo przyjazne warunki klimatyczne rosną pięknie, ale przestają kwitnąć i owocować: ażeby je zmusić do owocowania trzeba podciąć i podlewać skąpo. Tak samo rzecz się ma z drzewami owocowemi: niektóre z nich jak chlebowe np., owocuje tylko w stanie dzikim. Prócz tego duże znaczenie ma w tym razie mniejsza lub większa zdolność wytwarzania w owocu cukru. Już dziesięć lat temu Lewis Sturtevant zauważył, że obfitość nasion w owocu zależy w odwrotnym stosunku od jego słodyczy i delikatności. Cukier przeszkadza rozwojowi nasion. (*Prometheus Nr. 10*)

KRONIKA.

Szkoły. *Nowoje Wr.* podaje wiadomość, że w sferach właściwych postanowiono na próbę w ciągu lat pięciu przyjmować do akademii wojenno-medycznej maturzystów, którzy ukończyli 7 klas gimnazyów realnych, z warunkiem złożenia dodatkowego egzaminu z języka łacińskiego w zakresie kursu czterech klas gimnazyalnych. Egzamin ten powinien być złożony przy wstąpieniu do akademii, może być jednak odłożony na rok pod warunkiem, że w razie niezłożenia go słuchacz będzie z akademii usunięty. Postanowienie to wchodzi w życie od przyszłego roku szkolnego.

— Ministeryum oświaty wyjaśnia, że reforma, zaprowadzona w wykładach języka łacińskiego i greckiego w gimnazyach, nie dotyczy szkół, istniejących przy kościołach ewangelicko-luterańskich, utrzymywanych z funduszów parafij, bez udziału skarbu państwa, ponieważ mogą one różnić się od ogólnego typu przyszłej szkoły średniej, z warunkiem uzyskania na to osobnego pozwolenia ministra oświaty.

— W roku ubiegłym w całem państwie rosyjskiem było czynnych 54 wyższych zakładów naukowych, do których uczęszczało 16,570 mężczyzn i kobiet; średnich zakładów naukowych 880, w nich 162,000 uczniów i uczenic. szkół początkowych 79,000, w tych 154,650 nauczycieli uczyło czytać i pisać 4,204,000 dzieci; prócz tego 5,419 szkółek drzew owocowych, 106 pól doświadczalnych, 944 pasiek, 626 warsztatów pracy ręcznej i 729 warsztatów rzemieślniczych.

Egzaminy. Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż kandydaci, kształcący się prywatnie, nie mogą zdawać egzaminu ze znajomości kursu danej klasy, jeżeli nie posiadają przepisanej liczby lat.

Stypendya. Od 10 listopada r. b. Rada zjazdu przemysłowców górniczych w Dąbrowie przyjmować będzie podania o stypendya, przeznaczone przez nią dla studentów politechniki warszawskiej. Ubiegać się mogą kandydaci pochodzenia polskiego, wyznania katolickiego, pierwszeństwo jednak mają synowie osób, pracujących w górnictwie w Królestwie Polskiem.

— Zatwierdzono przepisy stypendyów im. Juliana Wertheima, które z procentów od sumy 100,000 rb. mają być wypłacane w ratach miesięcznych studentom politechniki warszawskiej, urodzonym w Królestwie Polskiem, bez różnicy wyznania. Stypendya mogą być udzielane na rok lub na cały czas uczęszczania do politechniki, przyczem korzystanie z nich nie wkłada na stypendystów żadnych zobowiązań.

Dla kobiet. Austryacki minister oświaty, Hartel, zawiadomił rektora politechniki lwowskiej, że nie pozwala studentkom prawa zapisywać się na słuchaczki zwyczajne, dopóki sprawa ta nie będzie uregulowaną w całej Austryi.

Z politechniki. Podanie właścicieli gorzelni o urządzenie w politechnice warszawskiej specyalnych kursów gorzelnictwa postanowiono oddać do rozpatrzenia warszawskiemu oddz Tow. pop. ros. przem. i handlu.

Czytelnia. Ministeryum oświaty rozesłało do kuratorów okręgów naukowych okólnik, zalecający urządzanie we wszystkich szkołach początkowych bibliotek z warunkiem, aby książki mogły być wydawane uczniom do domu.

Wiadomości społeczne. Generał gubernator kijowski wydał rozporządzenie do władz policyjnych, ażeby Żydzi, którzy nie posiadają praw zamieszkania w Kijowie, nawet w razie posiadania paszportów legalnych, nie przebywali w mieście dłużej nad dni siedem.

Zjazdy. Ministeryum skarbu upoważniło inspektora szkół handlowych okręgów naukowych: warszawskiego, wileńskiego i ryskiego, do zwoływania prywatnych zjazdów nauczycieli szkół handlowych danego okręgu.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło na podwyższenie opłaty za leczenie w szpitalach warszawskich osób nieopłacających podatku szpitalnego: na salach ogólnych do 50 kop., na chirurgicznych do 1 rb.

Dar. Arcybiskup Stablewski ofiarował Towarzystwu przyjaciół nauk w Poznaniu 20,000 marek na budowę własnej siedziby.

Zakaz. Prokuratorya w Lipsku zabroniła sprzedaży broszury Leona Tołstoja p. t. „Treść życia.“

Z Finlandyi. Senat finlandzki postanowił, że kandydaci do posad w zarządach: medycznym, leśnym i innych powinni składać świadectwa ze znajomości języka rosyjskiego.

Rolnictwo. Wskutek skarg właścicieli ziemskich na zbyt skąpe i w niewłaściwym czasie wypłacane wynagrodzenie za oddane na ćwiczenia wojskowe grunty orne, ministeryum wojny poleciło zamieszczać w aktach komisyj szacunkowych wszystkie bez wyjątku straty, wyrządzone ludności skutkiem zajęcia gruntów przez wojsko i dokonywać ich oszacowania niezwłocznie po ukończeniu ćwiczeń, nie czekając deklaracyi ze strony osób poszkodowanych. Zwrócono także uwagę na konieczność naznaczania do komisyj osób więcej doświadczonych i wymagania w aktach szczegółowo uzasadnionych wniosków, stwierdzających prawidłowość dokonanych oszacowań.

Wystawy. Powstał projekt urządzenia w roku przyszłym wystawy prac uczniów ze wszystkich szkół rzemieślniczych w państwie.

— W marcu roku przyszłego otwarta będzie w Petersburgu ogólno-rosyjska wystawa drobnego przemysłu włościańskiego.

— W Petersburgu otwarta będzie d. 20 grudnia r. b. międzynarodowa wystawa wyrobów złotych i srebrnych.

— W Turynie urządzona będzie w listopadzie roku przyszłego międzynarodowa wystawa nowożytnej sztuki dekoracyjnej Obejmować ona będzie wszystkie gałęzie sztuki, dotyczące estetyki ulic, domów, mieszkań itp. Przyjmowane być mają tylko dzieła oryginalne, objawiające dążność do odnowienia form, wszelkie zaś wyroby przemysłowe, pozbawione artystycznego piękna, nie będą uwzględnione.

Kongresy. Ósmy międzynarodowy kongres geograficzny odbędzie się w Waszyngtonie 1904 r.

Monopol. W celu ostatecznego uregulowania praw propinacyjnych w Królestwie Polskiem i guberniach północno-zachodnich, skarb ma wyznaczyć na r. 1902 ostatnie 5 milionów rubli, co razem z wypłaconemi poprzednio odszkodowaniami stanowić będzie kwotę 23,500,000 rubli.

Koleje i komunikacye. Naczelnik kolei Nadwiślańskich zawiadomił, iż z powodu przerwania żeglugi na rzekach Obi i Irtyszu, ładunki adresowane do Barnaułu i Semipałatinska, przewożone są do Obi i Omska końmi, skutkiem czego podniósł się koszt transportu.

— Wkrótce otwarty będzie ruch pociągów osobowych i towarowych na kolei Wschodnio-Chińskiej, pomiędzy stacyami Nikolsk-Usuryjski i Port-Arthur. Pociągi bezpośrednie z Moskwy do Port-Arthuru przybywać będą w 28 dni.

— Ministeryum komunikacyj dało zarządowi Towarzystwa Wschodnio-Pruskiej kolei południowej pozwolenie na zaprowadzenie bezpośredniej komunikacyi osobowej między Królewcem i Warszawą przez Grajewo i Białystok.

Zaburzenia. W uniwersytecie w Insbruku studenci wywołali burzę z powodu, że nowy profesor, Menestrina, miał czytać prelekcyę po włosku. W sali było 60 studentów Włochów i 20 Niemców. Ci ostatni, gdy profesor zaczął mówić, krzyczeli: „precz,“ a następnie śpiewali chórem „Wacht am Rhein,“ na co Włosi odpowiedzieli hymnem tryentyńskim. Wykład nie doszedł do skutku. Deputowani włoscy będą żądać w parlamencie, aby wobec takiego zachowania się Niemców otworzono dla Włochów oddzielny uniwersytet w Tryeście.

Zdobycze wojenne. Korespondent *Timesa* donosi z Tokio, iż Japończycy też nie opuścili z pustemi rękami Pekinu. Najgłówniejsza sekta buddystów w Japonii posiada obecnie we wspaniałej świątyni swojej, Hongwanji, w Tokio, święte księgi Lamaizmu, dotychczas przechowywane w Pekinie. Zostały one za panowania dynastyi Mingów przedrukowane z tablic drewnianych, które później spaliły się podczas pożaru. Przez trzy wieki „Sutra“ ta spoczywała w świątyni Lamy w Pekinie, gdzie ujrzało ją kilku buddystów japońskich podczas obecnej wojny. Pragnęli oni zabrać z sobą do Japonii ten

skarb, ale generał Yamuguchi nie pozwolił. Porozumiano się zatem z chińskimi kapłanami Lamy i księgi zostały oddane Japończykom, z którymi sam Lama udał się do Japonii; obejmują one kilka tysięcy tomów i ważą około 13 tonn. Każdy tom ma trzy stopy, oprawiony jest w złotą brokatelę i ozdobiony wytwornemi rycinami religijnemi na okładce. Wraz z tym księgozbiorem otrzymała sekta japońska dwa pulpity do czytania, z drzewa sandałowego, wspaniale rzeźbione w smoki i liście winne.

Zmarli. Jan Piotrowski, literat, w Lublinie. Brał czynny udział w dziennikarstwie warszawskiem; przez dłuższy czas prowadził redakcyę *Gazety Lubelskiej*. Z utworów oryginalnych pozostawił kilka nowel i dramat ludowy p. t. „Na Majdanie."

— Karol Weis (C. Karlweiss), autor dramatyczny i nowelista niemiecki, w Wiedniu.

SŁOWA NA WIATR.

Wędrowiec o Liberacie Zajączkowskim: „Był cichą sprężyną *całego* mechanizmu pracy publicznej we Lwowie. *Wszędzie* był, gdzie wyklówała się jakaś *idea*... pilnował czujnie *każdego* żywotnego dla społeczeństwa interesu. *Wszędzie* go szanowano i kochano."

Tygod. Ilustr., nr. 43. Tetmajer o Stanisławie Wyspiańskim. „Myślę, iż to on jest tym wielkim poetą, na którego czekamy wszyscy, którego się spodziewamy, którego pragniemy i który przyjść ma."

Odpowiedzi Redakcyi

Panu Ćwierczakiewiczowi w Solwyczegodzku. Prace P. Abramowskiego, o które Sz. Pan pyta, można dostać w wydaniu polskiem w każdej księgarni

X. Y. Z. Wiersz będzie drukowany, rękopisy także. Nasza wina, żeśmy wcześniej Szan. Pana nie zawiadomili

Stałemu prenumeratorowi A. K. *Modernizmem* nazywamy to, co w sztuce i literaturze jest najnowszem; *secesyonizm* — to oderwanie się dobrowolne, odszczepieństwo od kierunku, panującego w sztuce — protest jednej grupy ludzkiej przeciw innym; *symbolizm* w poezyi i w sztuce wogóle jest to dążenie do zastąpienia *wyrażenia bezpośredniego* symbolem, tj. obrazem wyobrażającym pewną ideę, która się pozwala zgadywać. Nazwa *dekadentyzmu* dawana jest najrozmaitszym sprawom i objawom twórczości ludzkiej. Pojęcie bardzo rozległe. W sztuce oznacza ono dowolność albo zaniedbanie formy, obniżenie pewnych dążności etycznych, społecznych itp W innem znaczeniu dekadentyzmem nazywamy wszelkie objawy rozkładowe życia, będące wynikiem starożytności kultury, przeżycia się wielu form bytu, zniedołężnienia, niezdolności do istnienia wogóle. Zresztą są to pojęcia tak różnorodne i rozległe, że kilku słowami określić się nie dają; na to potrzeba całych rozpraw.

Majalisowi. Pomimo kilku usterek wiersz Pański w początku i środku ma wartość uczuciową i artystyczną. Ale koniec słaby — jak gdyby napisany inną ręką — bez świeżości, nawet bez rytmu

Sasowi Marek. Wiersz tylko nadaje się do kosza Radzimy dać pokój poezyi.

Panu Z. W. Wyjdzie, ale nieprędko.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów od Stacha, Julka, Tadzia i Tomka Jaworskich rb 4.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 25 Октября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.